Nr 46 Poznań, dnia 18 Listopada 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr 38. Telefon Nr. 1465.

Ogłoszenia od wiersza drobnego 30 fen

Do Berlina czy do Rzymu?

Takie pytanie musimy sobie postawić wobec wypadków, jakie zaszły w ostatnich dniach.

Na wiecu w *Koźminie* zalecał poseł *ks. Dr. Jażdżewski* wysyłanie próśb do cesarza Wilhelma II, aby „najłaskawiej raczył *usunąć* wybuchły teraz spór pomiędzy rozporządzeniami władz szkolnych, a sumieniem katolickich rodziców i dzieci, którzy jednomyślnie domagają się nauki religii w języku ojczystym odpowiednio do prawa przyrodzonego i przepisów Kościoła katolickiego“.

Istotnie tak brzmi osnowa odezwy, czy petycyi. Wskazuje ona wyraźnie, o co chodzi. Otóż rodzice polsko-katoliccy mają „najpoddaniej“ prosić „Najoświeceńszego, Najpotężniejszego Cesarza i Króla, Najmiłościwszego Cesarza, Króla i Pana“ — o przyznanie im tych praw, które natura i Kościół katolicki przyznają im — bez próśb, bez petycyi, bez korzenia się najpoddańszego.

Nie chodzi tu o formę petycyi, bo forma ta, o ile chodzi o osobę cesarza, jest przepisaną i raz na zawsze ta sama, ale chodzi o sam fakt, chodzi o to, że ktoś powziął myśl wysyłania tej prośby, i że myśl tę ośmielono się publicznie popierać.

Zwróciliśmy już pobieżnie uwagę na zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między „Władzami,“ jak mówi petycya, a właściwie *rządem pruskim i katolickim kościołem* — w sprawie udzielania nauki religii w języku ojczystym.

Kościół potrzebę nauki tej uznaje za tak naturalną, że przyznaje ją bez wszystkiego. Historya kościoła wskazuje od najdawniejszych wieków, że kościół szanował przyrodzone prawa językowe każdej ludności, wśród której szerzył wiarę św.

Rząd pruski stoi na przeciwnym stanowisku.

Co wobec tego sądzić o petycyi, którą chce się wysyłać do cesarza? Czy sądzą ci, którzy petycyę tę ułożyli, że cesarz nie wie, co się u nas dzieje — że cesarz nie wie, jakie jest stanowisko kościoła katolickiego w sprawie udzielania nauki religii w języku ojczystym?

Cesarz wie to wszystko dobrze, tak dobrze jak najlepszy z zaściankowych lub niezaściankowych polityków naszych — powiedzmy szczerze, cesarz zna się na tem lepiej od tych, którzy go prosić chcą o usunięcie niemieckiej nauki religii.

Jeżeli cesarz o tem wie, to dla czegoż tej nauki nie usunął dawno?

Zdaniem naszem petycya do cesarza żadnego nie odniesie skutku. I już dla tego samego polecać jej nie możemy.

My nie wierzymy w skutek petycyi do cesarza. Czy jednakże wierzą w skutek jej ci, co ją szerzą?

Lecz kto to jest? ks. dr. Jażdżewski mówił podobno, że petycya ta ułożona jest za porozumieniem się obydwóch kapituł naszych — poznańskiej i gnieźnieńskiej. Wiadomości tej stanowczo zaprzeczono.

Pewne poszlaki co do źródła tej petycyi daje tylko jedno, a mianowicie, że drukowana była w „Drukarni św. Wojciecha,“ która jest własnością — księży. Niewątpliwie więc odezwa wychodzi od księży — i to od tych księży, którzy z „Drukarnią św. Wojciecha“ w najbliższych stoją stosunkach. Po nazwisku nie wymieniamy nikogo, ale z drugiej strony nie mamy prawa, ani chcemy o powzięcie myśli i zamiaru wysyłania petycyi — posądzać ogółu księży.

Ogół księży za petycyę nie może być odpowiedzialny i my go odpowiedzialnym nie czynimy. Ogół księży tak samo jak i my w jej skutek nie wierzy, ten ogół jednakże mógłby się dać nakłonić do szerzenia tej petycyi i do zbierania podpisów pod tę petycyę.

Jaki tego faktycznie będzie skutek? księża namawiać będą ludzi do czynu, w skuteczność którego *nie wierzą*. Chcąc atoli nakłonić kogoś do takiego czynu, trzeba mu powiedzieć, że on będzie skuteczny. Koniec ten będzie, że ci księża, którzy zbierać będą podpisy pod ową petycyę, *bałamucić* będą lud. *Sami nie wierząc, kazać będą wierzyć ludowi,* bo gdyby mu powiedzieli, że oni nie wierzą w skuteczność petycyi — lud by tej petycyi nie podpisywał.

Nam się wydaje, że i ci, którzy tę petycyę ułożyli, nie wierzą, żeby cesarz jej wysłuchał — dla czego więc ją szerzą?

Jest w tem jakaś dyplomacya, jakaś robota nierzetelna, jakaś polityka „na własną rękę,“ której społeczeństwo nasze mamy nadzieję popierać nie będzie.

Ludu wobec tak ważnej sprawy, jaką jest domaganie się polskiej nauki religii w szkole, bałamucić nie wolno — lud się bałamucić nie powinien pozwolić — nie powinien podpisywać petycyi, po której skutku żadnego spodziewać się *nie może!* My ludowi naszemu od tego stanowczo — odradzamy.

Inaczej zupełnie rzecz ma się z inną propozycyą, a mianowicie z prośbą — do Ojca św. Ojciec św. jest widomą głową tego kościoła, w którego naukę my wierzymy, i który w zupełności uznaje nasze przyrodzone prawa do pobierania nauk tego kościoła w ojczystym języku. Ojciec św. — jak pisano o tem w różnych pismach — miał oświadczyć wysłannikom rządu pruskiego, że w obecnej walce między tym rządem, a ludnością polską — On całkiem stoi po stronie ks. arcybiskupa Stablewskiego, to znaczy po naszej stronie.

Tak jest niewątpliwie. Ojciec św. jako najwyższa głowa kościoła dbać

musi o ścisłe przestrzeganie zasad tego kościoła. Jeżeli więc zasadą kościoła jest: uznawać wszelkie prawa każdej narodowości mianowicie co do używania języka ojczystego w tymże kościele, to ta — zasada jest także zasadą Ojca św. której On z całą pewnością bronić będzie.

Jeżeli tak jest, jeżeli już Ojciec św. orzekł, że po naszej stoi stronie — uważamy to za rzecz naturalną — to stokroć milszą byłaby nam prośba o obronę naszych praw wobec rządu pruskiego — do Ojca św.

Taką prośbę lud podpisywać będzie chętnie, podpisywać ją będzie z zapałem — ale prośba ta powinna zawierać także wierny obraz naszego położenia, obraz naszego ucisku, gnębienia i pogwałcenia praw naszych, powinna zawierać szczere i gorące wyrazy wiary w obronę Stolicy apostolskiej.

W skuteczność petycyi do Ojca św. lud wierzyć będzie, a choćby i pożądanego skutku nie odniosła, to lud wiedzieć będzie, że przyczyny tego szukać należy nie w Rzymie — lecz w Berlinie.

W każdym razie, jeżeli my stanęliśmy w obronie *zasad kościoła,* to orędownikiem naszym w tej walce może być tylko kościół, albo Ojciec św. — a nie cesarz.

Strajk szkolny rośnie.

Po wakacyach świętomichalskich minął przeszło miesiąc. Rozwój strajku szkolnego da się w pewnej mierze objąć już okiem.

Prawie we wszystkich szkołach, gdzie zaprowadzono czy to pochwalenie Boga, czy pacierz, czy naukę religii po niemiecku, tam wszędzie rozpoczął się opór przeciwko tej nauce. Ten początek t. zw. strajku szkolnego bywał różny, tu jeden chłopiec lub dziewczątko odważyło się podejść ku katedrze, odważyło się oddać książki niemieckie do religii i karteczkę od rodziców, że to oni zakazali dziecku w religii odpowiadać po niemiecku; a za tym pierwszym przykładem szła reszta dzieci. W innej znów szkole strajk poczynał się gremialnie. Kiedy jednak nauczyciele pogrozili przetrzymywaniem w szkole, aresztami, karami cielesnemi itp. — dzieci się cofały. Trwało to atoli dzień zaledwie. Nazajutrz, ośmielone przez rodziców, groźby i kary nauczycieli cierpliwie znosząc, dzieci znów strajk rozpoczęły.

Bywało także, że dzieci podziwienia godnym odznaczyły się hartem ducha i niezłomną uległością wobec woli rodziców.

Stąd strajk szkolny nabrał dziś niespodziewanych wprost rozmiarów, z Księstwa przeniósł się do Prus Zach. — a nawet na G. Śląsk. Mówią obecnie, że strajkuje 100 tysięcy dzieci, a mianowicie 60 tysięcy w Księstwie — a 40 tysięcy w Prusach.

Pisma niemieckie podają rozmiary strajku w samem Księstwie na 46 tysięcy dzieci.

Ktora z owych liczb więcej jest wiarogodną, rozstrzygać nie chcemy. W każdym razie liczba ta jest bardzo znaczną — jest tak wielką, jakiej na początku strajku w najśmielszych rachubach nikt nawet przypuszczać nie śmiał.

Do miejscowości, które już wymieniliśmy, przyłączyć należy jeszcze następujące:

Łowęcin p. Swarzędzem, Wilkowyja i Bachorzewie pod Jarocinem, Długa Goślina, W. Olędry, Brzeźno, Łopuchowo, Białężyn i Uchorowo, Rosko, — Przyprostynia, Pierzyny, Stefanowo, Zakrzewko, Zakrzewo, Krośnica, Łomnica, Nowydwór i Nadna pod Zbąszyniem — Donaborowo i Janków pod Ostrzeszowem — Janków Przygodzki pod Ostrowem — Podlesie Kościelne pod Mieściskiem — Główna — Zabartowo pow. wyrzyski — Hamra, Tuchorza, Maryanowo, Kiełpiny, Silce, Zodyń, Belencin, Korzenie, Kiełkowo, Obra, Płoki, Maławieś itd. w Babimojskiem. — Wójcin, Jadowniki i Bielawy pow. żniński. — Słaboszewo i Radłowo i Biechcin pod Pakością — Krotoszyn pod Barcinem — Mnichowo — Łubowo. — Oporowo pod Łabiszynem — Siemianowo — Posługowo pod Janówcem — Sokolniki, Kobylica, Florentynowo i Mączniki pow. gnieźnieński. — Mrocza — Wojnowo — Kowalewo pod Rogowem — Juncewo pod Damasławkiem — Głębokie pod Bacharciem — Łosośniki pod Gębicami — Węglewo pow. pozn. — Niemojewo p. inowr. — Jutrosin — Gozdanin, Królikowo, Kraszyce pow. strzeliński — Troszczyn, Uść, Dąbrówka. Rakonin, Ślesin, Paulinów, Grabów, Ciekrz pow. bydgoski — Lipia Góra pow. międzyrzecki, Prusce pod Rogoźnem — Jaszkowo pow. wyrz. — Nowymost pow. szamotulski — Słaboszewsko, Welno, Smogulec, Laskownica, Drzewiec, Dembowo, Górne Marcinkowo, Wroniewy, Janowo pod Nakłem, Kołaczkowo (pow. szubiński), Kempa, Dębie, Godziemba, Józefin, Nowymost, Kiełkowo, Wojciechowo, Chobienice i Siedlec — Siedlikowo, Bledzianowo i Kobylagóra pod Ostrzeszewem — Posadowo i Turowo pod Pniewami — Czacz i Wonieście pod Śmiglem — Wyszyny pow. chodzieski. — Mchy pod Śremem — Węgorzewo — Wiekowo — Wierzenica, Wierzonka i Kobylnica pod Bojanowem — Złotowo pod Barcinem — Biskupin na Pałukach — Obudno — Tuczno pod Inowrocławiem — Potulice pod Rogoźnem — Strzyżew pod Ostrowem — Wierzchucin, Wiskitno, Osiek i Krąpiewo pow. bydgoski — Jaktorowo, Lipa, Lipiagóra, Smogulec, Mieszków, Dobieszewo, Chojno, Czesławice, Gołańcz i Margonin — W. Łąck, Wierzchucin, Nowydwór, Lucim, Więzowno, Mąkowarsk, Sitówiec, Samociążek i Wudzyń nad Brdą — Baranów pod Kępnem.

To dzisiejsze zestawienie samych tylko miejscowości objętych strajkiem szkolnym w połączeniu z miejscowościami wymienionemi w numerach poprzednich w przybliżeniu daje obraz rozmiarach strajku.

Rząd, gdyby mu chodziło o moralne dobro spoeczeństwa naszego, po takich spostrzeżeniach przekonaćby musiał, że tu jedna mu tylko pozostaje droga: — *ustąpić!*

Niestety rządowi o moralne dobro społeczeństwa naszego nie chodzi. Woli on raczej za pośrednictwem rządowych i nierządowych swych organów wmawiać niemieckiemu narodowi bajki — o zepsuciu i demoralizacyi polskiej dziatwy z powodu niższej rzekomo kultury polskiej. Po co? — Otóż po to, by znaleźć cień usprawiedliwienia swej polityki germanizacyi.

Ale cienia tego rząd w niższości kultury naszej nie znajdzie, dla tego po prostu, że kultura nasza niższą nie jest — a powtóre że strajk szkolny dziatwy naszej nie demoralizuje i nie zdemoralizuje, raczej przywróci przynależne nad dziatwą wpływy rodzicom.

Jeżeli jednakże — czego nie zaprzeczamy — strajk szkolny wywoła większy rozdział między domem polskim a pruską szkołą, to niech winę tego zapiszą na swojem sumieniu ci, którzy wydali rozporządzenia — gwałcące sumienie ludu naszego. To w każdym razie jest prawda, że strajk szkolny wszelkie mrzonki o germanizowaniu Polaków w Prusiech zniweczył — najzupełniej.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Warszawa, 11 listopada.

Tydzień ubiegły nie przyniósł nic pocieszającego. Przeciwnie. Zgrozą przejmujące wieści nadeszły z Łodzi, gdzie zawrzała walka na śmierć i życie między narodowcami a socyalista-

mi w fabrykach. Przez kilka dni od kul z brauningów padło kilkunastu robotników, nie mało poraniono również narzędziami tępemi. Mordują zwykle z zasadzki; niektóre ofiary padały od salw całych, dawanych przez grupy zabójców. Zabijają w fabrykach, na dziedzińcach, na ulicach, pod miastem. Liczba ofiar doszła już prawie 40. Początkowo byli to wyłącznie narodowcy, członkowie Narodowego Związku Robotniczego, mordowani przez socyalistów w myśl odezw Demokracyi Socyalnej, nakazującej „strzelania do narodowców, jak wróbli". Konferencya, zwołana przez wszystkie partye, celem pogodzenia się wzajemnego, pomyślnych rezultatów nie miała. I nie udała się od razu. Na pierwsze posiedzenie zebrali się tylko przedstawiciele narodowych robotników, socyaliści nie dopisali. Przyszli na drugie i niby zawarto zawieszenie broni, gdy mimo to w następne dni odbyły się masowe zamachy na narodowców. Ci są niewinni. Do ostatniej chwili stawiali czoło ohydzie walki bratobójczej i pierwsi podali myśl konferencyi, pierwsi do zgody rękę wyciągnęli. Naprożno! Uległość ich rozzuchwaliła tylko zwolenników międzynarodówki czerwonej. Uległość ich zdaniem, i chęć do zgody, wszak to oznaki słabości! Więc śmierć, polskim czarnym secinom!" gdyż takim obelżywym mianem socyalizm traktuje przedstawicieli patryotycznej idei wśród rzeszy robotniczej polskiej. A narodowcy nie baranki, ginąć bezkarnie z rąk socyalistów nie mogą. Gwałt odpierają gwałtem, sile przeciwstawiają siłę. Do tego, acz z bólem serca, nawołuje Narodowy Związek Robotniczy, prasa narodowa, w ostateczności przystępując do narzuconej nam walki bratobójczej. W odpowiedzi na mordy socyalistów zaczęły się odzywać odwetowe strzały narodowców.

Dziś ranni i zabici po stronach obu; wzburzenie i roznamiętnienie dochodzi do szczytu. Końca tym okropnościom na razie nie widać.

W Warszawie zato, od chwili, gdy w odwecie za zamordowanie Baranowskiego narodowcy sprzątnęli 4 bojowców socyalistycznych, walki bratobójcze ustały. O tego rodzaju wypadkach więcej nie słychać.

Walka obydwóch obozów w Łodzi zaczęła się od wyrzucania z fabryk narodowców przez socyalistów, a później i odwrotnie, zależnie od tego, która strona posiadała w danej fabryce większość.

Wynikiem wyrzuceń takich — strajk, mający na celu przyjęcie wyrzuconych. Fabryk sporo nieczynnych, inne — ograniczyły produkcyę do 3—4 dni w tygodniu, a więc głód, nędza i mnóstwo ludzi bez pracy, głodnych, zrujnowanych, z rozpaczy gotowych na wszystko. Powiększają szeregi bandytów, których liczba nie topnieje jakoś, pomimo surowych wyroków sądów polowych, skazujących zazwyczaj na rozstrzelanie, pomimo energiczniejszej niż dotąd działalności władz, którym udało się naraz w Warszawie wytropić i pojmać dwie wielkie, zorganizowane wzorowo bandy rabusiów.

Mają to pono być eksbojowcy jednej z partyj socyalistycznych. Sprzykrzyła im się działalność idejowa, a zachciało się natomiast skorzystać coś dla siebie. Dopuszczali się więc najbardziej śmiałych napadów, korzystając z organizacyi, pozostałej w spadku od partyi socyalistycznej. Partye w poszukiwaniu bojowców nie odznaczały się wybrednością żadną — korzystały z usług różnych osobistości ciemnych, mętów społecznych, którym nieopacznie dały w rękę brauningi. Aż wreszcie partye straciły władzę nad niemi; nieraz zmuszone ścigać swych byłych bojowców, karały śmiercią tego rodzaju zdradę, co jednak mało pomogło. Dziś niepodobna stwierdzić, kto w gruncie rzeczy napada na kasy, poczty, koleje — bandyci czy też bojówka partyj socyalistycznych. Tak samo rzecz się miewa z ostatnim, głośnym rozbojem w Rogowie na kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Olbrzymi wprost rozmiarami napad ten jest czemś nadzwyczajnem nawet w atmosferze anarchizmu naszego. Poprzedzały go dwa wypadki obrabowania pociągów pocztowych na drodze warsz.-wiedeńskiej. Zabrano raz 110 tys., drugi — 60 tysięcy rubli. Tym razem suma skradzionych pieniędzy wynosić ma aż 1 miljon 300 tys. rubli! Są dane, że i ten napad jest dziełem organizacyi rewolucyjnej, lecz już nie P. P. S., ale jakiejś innej, rosyjskiej, czego dowodem fakt, że napastnicy porozumiewali się z sobą w języku rosyjskim. Było ich 60, podzielonych na 3 oddziały, zbrojnych w rewolwery i karabiny Mauserowskie, oraz bomby, które rzucone zniszczyły wagon pocztowy, zabiły lub poraniły konwojujących pociąg żołnierzy i otworzyły rabusiom dostęp do wagonu z przesyłkami pieniężnemi. Banda okazała niezwykłą sprawność; działała zgodnie, według sygnałów trąby i rozkazów dowódcy. Dała 200 wystrzałów, rozbiegła się, rozwinąwszy chorągiew czerwoną.

Inna znowu wiadomość, lecz również kolei się dotycząca. Rząd robi zamach na prawa języka polskiego w wewnętrznem urzędowaniu kolei prywatnych w Królestwie. Koleje te — warsz-wiedeńska, kaliska i łódzka w sierpniu r. zeszłego wprowadziły do urzędowania język polski. Zrobiły to samorzutnie, dzięki zbiorowej akcyi patryotycznych pracowników kolei. Po wielu trudnościach rząd wreszcie uznał nowy stan rzeczy, oparty zresztą na uchwale komitetu ministrów, dziś jednak znowu powraca do tejże sprawy. Specyalna komisya i Skałon zaopinjować mają, czy i o ile (!) możliwem jest używanie w biurowości kolei języka polskiego. Ta sprawa była już omawiana dużo i rozstrzygnięta przez jedną komisyę i ministeryum w sensie przychylnym dla nas. Dziś ją wznawiają. Mały dowód wzmocnienia się dotychczasowych prądów rusyfikacyjnych, objawem których jest również ogłoszona świeżo decyzya ministeryum oświaty, że „uniwersytet państwowy w Warszawie może być jedynie rosyjskim", a obecne jego zamknięcie jest chwilowem. Oznacza to, że władze nie mają zamiaru przenieść go do Rosyi, lecz że zarazem ani myślą o spolszczeniu rządowych szkół wyższych i niższych.

Widoki zmian w najbliższej przyszłości — małe.

Dla maryawitów, dziś popularnie kozłowitami zwanych — wiadomość pomyślna: uzyskali legalizacyą zupełną u władz rządowych. Uznano ich jako osobną sektę, powstałą z Kościoła katolickiego, nadano prawo swobodnego kultu, utrzymywania kapłanów i budowania świątyń, lecz tylko ze składek dobrowolnych wyznawców. Nie wolno im więc odbierać katolikom ich kościołów. Odnośny komunikat rządu oznacza liczbę maryawitów — księży na 40, a parafii — na 22. Liczby te obie wydają mi się przesadznoe. Liczba odszczepieńców-księży nie przewyższa 30.

O swe kościoły walczymy nie tylko z kozłowitami. Unicka ludność Podlasia, dziś katolicka, acz przed 1 i pół rokiem urzędowo prawosławna, po tłumnem przejściu do Kościoła naszego występuje z żądaniem zwrotu zagrabionych przed laty 30-tu przez rząd kościołów, przerobionych na cerkwie. Komu dziś mają służyć, skoro 70 proc. ludności „prawosławnej" Podlasia porzuciło schizmę, cerkwie, z kościołów poprzerabiane, stoją pustkami, a brak katolickich świątyń dotkliwie odczuć się daje? Sprawa jasna, odpowiedź na nią jedyna, co nie przeszkadza jednak stupajkom różnym rządowym i gadzinowej prasie rosyjskiej nazywać nasze żądania „niesłychaną bezczelnością" i „dziką nietolerancyą." Bezczelność prześladowców naszych jest nie zrównaną! Opiera się na sile dzi-

kiej, brutalnej, ta zaś nigdy nie jest i nie będzie trwałą. Trwałą być może tylko potęga idei.

Nowe wybory za pasem. Rozporządzenie o układaniu nowych list wyborczych już ogłoszonem zostało; gubernatorzy i komisye miejskie przystępują do pracy. W Królestwie jak dotąd — wyborczej agitacyi żadnej, bo i zawcześnie jeszcze. Jedynie w prasie ozwało się kilka głosów o konieczności koncentracyi wyborczej żywiołów narodowych, i o potrzebie utworzenia na całe Królestwo jednego, centralnego komitetu wyborczego bezpartyjnego, na wzór istniejącego w zaborze pruskim. Goracym rzecznikiem tej myśli jest dr Kazimierz Rakowski w założonym i redagowanym przez siebie *„Sztandarze“*. Tygodnik ten, układem i treścią przypominający Waszą *„Pracę,“* odrazu wstępnym bojem zdobył ogromną poczytność w całym zaborze rosyjskim i wśród Polaków w Rosyi. Redagowany świetnie, odznaczający się doborem i wielką obfitością artykułów, bogatym działem powieściowo - historycznym, *„Sztandar“* ma przyszłość przed sobą. Jest wydawanym w 50 tysiącach egzemplarzy, a nader niska cena udostępnia go najszerszym warstwom społecznym.

Tę wzmiankę uważam za konieczną, zwłaszcza ze względu na osobę redaktora *„Sztandaru“*, dawnego redaktora *„Pracy,“* kilkoletniego więźnia politycznego pruskiego.

Warunkom, w jakich odbywać się będą nowe wybory w zaborze rosyjskim i w Rosyi, i ich przypuszczalnemu wynikowi — poświęcę w całości korespondencyę następną. *Sarmata.*

Stronnictwa ludowe w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

Lwów, 12-go listopada.

I.

Lud wiejski w Galicyi miał opiekunów dosyć niemal od tej chwili, gdy Austrya zagarnęła tę część Polski pod swoje panowanie. Zwłaszcza gdy zaborczy rząd przekonał się, że należy dla utrzymania tej świeżej prowincyi państwa austryackiego w swej mocy nie dopuścić do należytego porozumienia się wszystkich warstw narodu, wziął w szczególniejszą opiekę chłopa galicyjskiego. Z polskiego włościanina w zachodniej Galicyi stworzył za pomocą nasłanych nędznych kreatur urzędniczych „cesarskiego chłopa“ i rzucając go na „panów“ stworzył rok 1846. Wkrótce później zwrócił baczną uwagę na Rusinów, wywołał kwestyę ruską i w chwili kiedy Polacy bronili swej samodzielności, wprowadza za pomocą starostów do parlamentu jako posłów ruskich chłopów i za ich pomocą zwalcza oporne stanowisko Polaków.

Czasy konstytucyjne pchnęły wszystkie siły ochocze do pracy nad uświadomieniem tego ludu, któremu dano prawa obywatelskie, a on nie wiedział nawet kim jest.

Przyjęto jednak choć uczciwy, ale błędny kierunek tej pracy. Zaczęto bowiem traktować tego włościanina jak dziecko, które należy uczyć, ale które nie powinno mieć przez długi czas własnej woli. Zwracano się do „młodszego brata,“ który ma tylko pomagać starszym do utrzymania się przy władzy, a zapomniano, że to równy w prawach współobywatel, którego ktoś nieuczciwy łatwo może pouczyć, że dzieje mu się krzywda i to od tych, co się nieraz zwracają do niego z ofiarą opieki i pomocy.

I rzeczywiście dużą winę tego, że dziś znaczna część ludu polskiego stoi przeciw reszcie warstw społecznych jako zdecydowany niemal wróg, a nie przeciwnik w walce o prawa, ponosi szlachta rządząca krajem. Nie dopuściła ona dobrowolnie ludu do użycia praw obywatelskich mu należnych, niezaprawiała tego naturalnego następcy swego w gospodarstwie krajem do życia publicznego, ale zmuszała go do tego, iż on przebojem i siłą jakiej posiada nieprzebrane zasoby brał swe miejsce w rzadzie krajem.

Nie zostaje tutaj jednak bez winy i demokratyczna część społeczeństwa, która dzielac się ze sferami włościańskiemi ofiarnie i szczerze ogólną oświatę, zapoznając je z obowiązkami obywatela Polaka, ucząc i pomagając jak zaradzić biedzie i niedostatkowi, zostawiła je sobie samym w życiu publicznem lub pozwoliła na to, że różne warchoły prowadziły lud drogami, na których doznał on bardzo dużo przykrości, przepoił się nawet nienawiścią, ale korzyści żadnych jak dotad nie osiągnął.

Nie osiagnął, bo jest, jak był, lotnym piaskiem, który lada podmuch przewiewa z kupy na kupę, bo nie wie, choć czuje, że jest w nim wielka siła, która działa dopiero jako zorganizowana całość, gdy jest świadomie zorganizowaną częścia całego narodu.

To sa powody dla których lud nasz dzieli sie na różne stronnictwa, mogące przy nadchodzacych wyborach nawet stanać wrogo przeciw sobie, a które już dzisiaj staja czasem i bezwiednie w poprzek narodowym interesom i jakkolwiek nie przynosza tem jeszcze szkody, bo zapora to na szczęście słaba i stawiana ręka bezrozumnych kierowników, ale utrudniają i osłabiają stanowisko parlamentarnej reprezentacyi polskiej i wnoszą zamęt w pojęcia obywatelskie całego ludu.

Jednym z pierwszych pionierów oświaty politycznej wśród szerokich rzesz chłopskich na gruncie galicyjskim jest bezsprzecznie ks. Stojałowski. Eksjezuita, znakomity mówca ludowy i pisarz, żyjący między ludem jako baczny i bystry obserwator, skutkiem czego zna duszę chłopską na wylot, wie co jej dolega, co ją ucieszyć może, był długie czasy jedynym przodownikiem politycznym wśród ludu i władał nim do niedawna niepodzielnie. Mniej więcej w latach 70-tych wystąpił na widownią pisząc gazetki dla ludu i agitując między ludem z zapałem i niezrównanem znawstwem. Stworzył też wnet silne stronnictwo chłopskie, którego jednak przezornie nie pchał od razu w czynne życie polityczne. Wiedział on dobrze jaką siłę posiadają konserwatywne sfery szlacheckie trzymające władzę niepodzielnie w swem ręku, wiedział i dobrze oceniał, że lud raz zrażony przegraną i następnemi sekaturami, jakich by doznał od podrażnionych oporem władców, na długo odstręczy się od czynnego udziału w sprawach politycznych.

Gdy jednak poczuł w ludzie dostateczną siłę, wystąpił do walki ze szlachta, a nawet z duchowieństwem jej uległem.

Zlękła się ona tego objawu siły i stanowczości z jaką lud zdobywa pod komendą Stojałowskiego kika mandatów poselskich. Rzuciła się zatem cała siła rzadowa przedewszystkiem przeciw dowódzcy. Obok prawdziwie wielkich zdolności politycznych posiada ten człowiek burzliwy temperament, który nastręcza przeciwnikom dużo sposobności do skutecznych ataków. Toż po skandalicznych procesach musi opuścić doskonałe probostwo, jest ścigany i więziony skutkiem czego poświęca całą niewyczerpaną energię własnej obronie. Lud stoi twardo przy nim mimo przykrości jakich doznaje skutkiem tego, osłania go i wspiera materyalnie przez dłuższy czas. Gdy jednak uległ wyklęciu kościelnemu, gdy nadto zaczał siać w duszę chłopską szkodliwe carochwalstwo zaczynaja go zniechęceni zwolennicy opuszczać. I to stanowi najpiękniejszą stronę tego ruchu. Nieskażona dusza chłopska oceniła wnet złe.

To zmusza Stojałowskiego do pogodzenia sie i z biskupami i ze świeckimi możnowładzcami. Z opozycyonisty staje się lojalnym wodzem ludu nie ulegającego radykalnym wpływom ludowcow, z którymi rozpoczął zażartą walkę. W końcu przechodzi w bieżącym roku ze wszystkiemi swojemi wpływa-

mi do obozu klerykalnego stanowiąc jądro nowo założonego stronnictwa „katolickie centrum ludowe“ zostającego pod komendą księży. *Bes.*

Chłop rosyjski wobec rządu.

(Własna korespondencya „Pracy“).

Petersburg, 10 listopada 1906.

I pomyśleć, że z wojskiem, składającem się prawie wyłącznie z chłopów, rząd rosyjski zamyślał zwyciężyć Japonią, państwo, w którem każdy najmniejszy czynnik postawiony jest w służbę ogółu, gdzie u każdego nawet żołnierza poczucie narodowe wygórowane jest do fanatyzmu! W jakimże zaślepieniu znajdowali się przedstawiciele rządu rosyjskiego na dalekim wschodzie i w Japonii, taki Aleksjejew i Rozen, jeżeli w swoich sprawozdaniach zachęcali do wojny i zwycięstwo Rosyi uważali za pewne?

Zaznaczyć trzeba, iż opisany stan rolnictwa tylko we właściwej Rosyi znajduje się w tak opłakanym stanie. W ziemiach dawniejszej Rzpltej, w kraju nadbałtyckim, w niemieckich koloniach w średniej Rosyi, t. j. w ogóle w okolicach mających odrębną i starszą kulturę rolnictwo, znajduje się w stanie bez porównania wyższym. Kurlandja, Estonia i Inflanty mają po części rolnictwo wzorowe, nie różniące się prawie o nic od dobrych okolic niemieckich, a jeżeli w tych okolicach ziemia nie wydaje tak obfitego plonu, jak w Niemczech, to zależy to tylko od klimatycznych warunków.

Również na Litwie i Żmudzi starsza i wyższa kultura widna jest na każdym kroku. Drogi są obsadzone drzewami i zaopatrzone w rowy, przy gospodarstwach chłopskich są prawie zawsze ogrody warzywne lub owocowe. Tak samo do gubernii podolskiej i wołyńskiej nie można zastósować tych warunków, o których powyżej wspominałem. Zwłaszcza ziemia na Podolu znajduje się przeważnie w posiadaniu wielkich właścicieli, po części magnatów, prawie wyłącznie Polaków. Kraj ten nadzwyczaj urodzajny, zasiany prawie wyłącznie burakami i pszenicą, mógłby być prawdziwem źródłem bogactwa dla Rosyi, gdyby warunki sił roboczych w tych okolicach były nieco pomyślniejsze. Ludność chłopska na Podolu składa się prawie wyłącznie z Rusinów. Chłop rusiński jest to żywioł mało kulturny, panom polskim nieprzyjaźnie usposobiony, ciemny i zabobonny. Ponieważ ludność ta wyznaje prawosławie a żyjąc w ciągłej styczności z panem polskim, święci tak samo święta katolickie jak prawosławne, przeto jest do systematycznej pracy na roli jeszcze mniej zdolną, niż ludność wielkorosyjska. Dla tego stosunki rolne na Podolu cierpią pod ciągłym brakiem zdatnego robotnika.

Wspomniałem powyżej, że po uwłaszczeniu chłopów rząd zapłacił ziemskim właścicielom sumę 754 miljonów rubli, które chłopi powinni zapłacić w przeciągu 50 lat. Jednakże spłaty te nigdy regularnie nie wpływały do kas rządowych. W roku 1891 wynosiły długi chłopskie 50 miljonów rubli, która to suma w r. 1902 wzrosła do 237 miljonów rubli, tj. 500 miljonów marek. Nie było więc przy zwiększającem się ubóstwie chłopów, najmniejszych widoków, że długi pochodzące z uwłaszczenia będą kiedykolwiek spłacone. Że przy takim stanie rzeczy o nowych podatkach nie mogło być mowy, nie potrzeba wspominać.

Jako ciekawy epizod przytaczam, że w lecie r. 1904 manifestem cesarskim chłopom odpuszczono ów dług. Taka łaska cesarska jest tylko oficjalnem wyznaniem, że znikła w kołach rządowych wszelka nadzieja otrzymania kiedyśkolwiek od chłopów owej ogromnej sumy. Chłopi również z owej „łaski“ wiele pociechy nie mieli, ponieważ i tak wszystkie swoje dochody oddawać muszą na podatki. Manifest cesarski był tylko rządowem ogłoszeniem bankructwa polityki prowadzonej przez 40 lat.

Za czasów pierwszego ministerstwa Wittego pomyślano o tem, jakby pomódz materjalnie zupełnie podupadłym chłopom.

Utworzono tak nazw. kredyt ziemski. W tym celu zebrała się najpierw „komisja“. Komisje takie w Rosji bywają grobem każdego postępu i każdej reformy. Komisja ta przedewszystkiem utworzyła posady dla kilku tysięcy urzędników, różnych darmozjadów itp.

W przeciągu 5-ciu lat (!) wypracowane projekt pożyczki dla dziesięciu miljonów rodzin. W rzeczywistości tylko 281 rodzin otrzymało pożyczkę wprawdzie tak hojną, że na każdą „duszę wypadła suma $2^1/_2$ kopiejek, tj. 5 fenygów (!). Resztę środków pochłonęły komisje i pensje urzędników.

Historja tej pożyczki jest typiczną dla wszystkiego, co rząd przedsiębierze w celu zapomogi włościan. Jest to tylko zamydlanie oczu i rzucanie grochem o ścianę. Lecz gdyby nawet stał się jakiś cud niesłychany i znalazłaby się jakaś potęga nieprawdopodobna na świecie, któraby mogła rzucać miljonami, to jednak taka potęga nie byłaby w stanie podnieść poziomu materjalnego i duchowego chłopa rosyjskiego. W tym stanie, w jakim się on obecnie znajduje użyłby wszelką zapomogę pieniężną jedynie na jeden cel, tj. na pijaństwo.

Chłop więc w środkowej Rosji przedstawił się nam w stanie niesłychanego ubóstwa i ciemnoty. Całe wieki nowoczesnej kultury nie pozostawiły na nim najmniejszego śladu. Wieś w środkowej Rosji przedstawia się naszym zdumiałym oczom w takim samym stanie jak za czasów średniowiecznych. Historycy i wogóle opinja publiczna zwykła przypisywać winę tego w dziejach świata niesłychanego objawu narzędziom rządowym i w ogóle całemu ustrojowi państwa rosyjskiego. I w rzeczywistości przyznać trzeba, że błędna polityka ostatnich wieków, skierowana wyłącznie ku rozszerzaniu granic państwa, nic a nic dla podniesienia kultury rolnej nie zrobiła.

Biada jednak narodom i społeczeństwom, które zbawienia oczekują od rządów! Wszelka siła i wartość narodów i społeczeństw polega w nich samych, a na drodze postępu szły one zawsze bez pomocy rządu, a nawet często wbrew rządowi. Narody nie znajdujące w sobie samych siły do życia i ubiegania się o lepsze z drugimi, upadają i giną.

Dla tego też główną przyczyną niesłychanej moralnej i fizycznej nędzy chłopa rosyjskiego jest on sam, a nikt inny. Nie masz bowiem tak nikczemnego rządu na świecie, któryby w narodzie liczącym 100 miljonów mógł stłumić wszelkie dobre zarodki i oddać go na pastwę nizkich i zwierzęcych instynktów. *Seweryn.*

Przegląd polityczny.

Na horyzoncie politycznym od czasów konferencyi marokańskiej — cisza. Nie stało się nic takiego, coby groziło wybuchem wojny albo w ogóle jaką większą polityczną katastrofą.

Konferencya marokańska była dla istniejących sojuszów państwowych niejako probierzem. Próba ta wypadła dla Francyi o wiele korzystniej aniżeli dla Niemiec. Wiadomo — po stronie Francyi niedwuznacznie stanęła Rosya — Anglia — Hiszpania — nawet Włochy. Zaledwie Austrya dochowała wierności Niemcom. Za to hr. Gołuchowski, minister dla spraw zewnętrznych Austryi, poszedł pod naciskiem Węgrów, wrogich Niemcom i trójprzymierzu — na odstawkę.

Po konferencyi marokańskiej nastąpił czas — że tak powiemy — legend politycznych co do zawierania sojuszów. Odwieczne rywalki Anglia i Rosya mają się pogodzić i podać sobie rękę. Niemcy kokietują Francyę a najpiękniejsza jest legenda o powstaniu — przymierza trójcesarskiego pomiędzy Rosyą, Austryą i Niemcami.

Co do legendy tej odgrywają pewną a może najważniejszą rolę wspomnienia historyczne. Gdy bowiem przed mniej więcej laty stu chodziło o przełamanie potęgi Napoleona, wówczas powstał wiadomo sojusz Prus, Austryi i Rosyi. Dziś jednakże niema Napoleona, ówczesne Prusy zadarły dziś nosa o całe niebo wyżej, a Austrya właściwie żadnego niema interesu mieszać się do przyszłych awantur Niemiec.

Zapewne więc legenda owa pozostanie — legendą, tem więcej, że zbliżenie pomiędzy Rosyą a Anglią faktycznie nastąpiło. Spisany został akt zgody co do wpływów obydwu państw w Persyi, a prawdopodobnie nastąpią w najbliższym czasie porozumienia i co do innych kwestyi spornych.

Z całej polityki zewnętrznej i wszystkich wypadków z ostatnich tygodni jeden tylko co do Niemiec jasny da się wysnuć wniosek: *odosobnienie!*

Istotnie Niemcy są wobec zagranicy zupełnie odosobnione. Po odejściu Gołuchowskiego, najwierniejszego sekundanta Niemiec podczas konferencyi marokańskiej, a z objęciem teki zagranicznej Austryi przez barona *Aerenthala* ochłodzi się pewnie i przyjaźń austro-pruska. Włochy oddawna nie mają interesu w przyjaźnieniu się z Niemcami. Kosztuje ich to nieco za wiele.

Same więc są Niemcy. Opatrzność to sprawiła czy ich własna wina?

Opatrzność kieruje losami świata — ale równie dobrze do dobrego jak i do złego. Drogę wybiera sobie człowiek, w życiu politycznem — państwo. Krokami politycznemi Niemiec w ostatnim czasie kierowała bezgraniczna buta i zarozumiałość. Osławioną „żelazną pięścią“ wywijano pod nosem całemu światu, a skutek był ten, że świat od takiego „przyjaciela“ się odwrócił.

Gdyby choć wewnątrz Niemcy były zgodne i spokojne. Ale jedna burza — wywołuje drugą — zewnętrzna wewnętrzną.

Obecna sesya parlamentu, rozpoczęta we wtorek bieżącego tygodnia, najlepszym tego dowodem. Najwierniejsze ze stronnictw rządowych narodowo-liberalne zaatakowało kanclerza Buelowa o politykę zagraniczną.

Z powodu usunięcia ministra Podbielskiego ze stanowiska ministra dla rolnictwa powstało niezadowolenie w tych kołach, które z Podbielskiego były zadowolone — w konserwatywnych. Przecież nawet „Dziennik Poznański“ czuł się zmuszony pochwalić p. Podbielskiego za jego — zasługi około rolnictwa.

Wolnomyślni, — socyaliści, no a nie najmniej my Polacy mamy do rządu różne pretensye.

W szeregach dawnych malkontentów stoją więc nawet — najwierniejsi poplecznicy rządu. Tylko centrum trzyma się drogi środkowej, choć w sprawie strajku stoi po naszej stronie.

Jeżeli do tego ogólnego niezadowolenia dołączymy: groźę powszechnego strajku górniczego, niezadowolenie z powodu ogólnej drożyzny a szczególnie mięsa, — a na ostatku strajk naszych dzieci, jeżeli temu wszystkiemu nadamy wyraz wrącego życia, uwydatniającego się niezliczonemi petycyami i interpelacyami, to w przybliżeniu mieć będziemy obraz tego, w jak gorących rząd znajduje się opałach.

Zażegnanie tej burzy wewnętrznej nie będzie zbyt łatwe, tem mniej, że rząd jakby rozmyślnie różne stronnictwa po prostu drażni. I tak n. p. ministra Podbielskiego, który według opinii niemieckiej dawno „dojrzał“ na odstawkę, odstawiono istotnie w przeddzień otwarcie parlamentu i za „zasługi“ udekorowano orderami. W sprawie strajku górniczego rząd kokietuje obie strony i górników i właścicieli kopalń. To oczywiście ani po jednej ani po drugiej stronie nie jedna mu przyjaźni. U nas chce rząd zażegnać strajk, a nauczyciele tymczasem nie przestają karać dzieci, regencya nie przestaje nasyłać nauczycieli nadetatowych, ministrowie nie przestają grozić.

Może otwarty parlament niemiecki choć usta otworzy wszystkim tym, którzy tyle skarg mają przeciwko rządowi.

Posłowie polscy nosili się z zamiarami wnieść interpelacyę w sprawie strajku. Sprawa ta ma być omawiana równocześnie z wnioskiem centrowym — w sprawie tolerancyi religijnej czyli wolności wyznań.

Jaki będzie skutek?

Z życia Polaków na obczyźnie.

Lipsk, w Listopadzie r. 1906.

Kochana „Praco!“

Rzadko kiedy słychać o życiu tutejszej Polonii w pismach krajowych. To też nie dziw, że przyjezdny rodak przybywszy do Lipska, nie tak szybko zoryentuje się po tutejszej Polonii i potrzeba na to dłuższego czasu, aby mógł poznać dobrze stosunki tutejsze. Większość Polaków lipskich składa się z robotników pracujących po różnorodnych fabrykach, a główny kontyngent ich pracuje w dwóch wielkich przędzalniach wełny: Plagwitz i Schönefeld. Reszta Polaków to przemysłowcy, kupcy i studenci.

Ci ostatni prawie wszyscy pochodzą z Królestwa i są to ludzie ze skrajnemi przekonaniami, wielkiej ambicyi — lecz niestety, małego poczucia solidarności narodowej i trzeźwego poglądu na stosunki polskie na obczyźnie. Lecz nie wszyscy mają takie przekonanie — jest mała garstka kształcącej się młodzieży, która ochoczo dąży do towarzystw polskich i tam wykładami, odczytami i t. p. przyczynia się do rozbudzenia ducha narodowego jako i do pielęgnowania naszych ideałów.

Oby przykład tych młodzieńców zachęcił i resztę!

Wyjdzie im to tylko na dobre, głównie zaś przez obcowanie z ludem prostym rozszerzą swój pogląd na stosunki, w jakich Polacy zmuszeni są żyć na obczyźnie. To samo mógłbym powiedzieć i o inteligencyi polskiej, przebywającej w Lipsku.

Obecnie istnieją tutaj trzy towarzystwa polskie i to: Tow. gimn. „Sokół,“ „Towarzystwo przemysłowców polskich“ i „Tow. robotników polsko-katolickich.“ Dawniej istniało tutaj jeszcze Kółko śpiewackie, lecz z braku poparcia upadło. Jest nadzieja, że Koło śpiewackie, którego potrzeba uczuwać się daje, no nowo się zawiąże.

Mimo, że Polonia tutejsza liczy 4—5 tysięcy rodaków, nie można się doczekać kazań polskich w tutejszym kościele katolickim.

A jest faktem niezaprzeczonym, że większość nabożnych, chodzących w niedzielę na nabożeństwa, składa się z Polaków. W tej sprawie koniecznie trzeba zwołać wiec, abyśmy wreszcie przyszli do sprawiedliwości.

W niedzielę, 4-go listopada, odbyło tutejsze Towarzystwo gimn. „Sokół“ swoją piątą rocznicę założenia.

Była wieczornica, a po niej nastąpiły tańce. Przedtem oddział ćwiczebny pokazał swe najlepsze produkcye z dziedziny gimnastyki i trzeba wyznać, wobec trudnych warunków jak i różnych przeszkód — że spisał się doskonale.

Publiczność nagrodziła Sokołów sowicie oklaskami. Wielką radość sprawił także żywy obraz przedstawiający „Przysięgę Kościuszki na rynku krakowskim.“

I tutaj osiągnięto małemi środkami

wielki efekt. Obraz ten godzien jest polecenia polskim towarzystwom na obczyźnie.

Jest tutaj też jeden druh nazwisko jego wymienię, bo na to zasługuje — druh Czechowski, który niestrudzenie pracuje około oświaty nad ludem polskim, dostarczając mu gazet, książek, chodząc po towarzystwach polskich i wygłaszając piękne wiersze narodowe. Człowiek tc mało ambitny nie szuka w pustych frazesach czczej chwały, lecz stara się przez rzeczywistą pracę nad ludem polskim służyć sprawie. Obyśmy wielu takich mieli na obczyźnie! *Józef S—r.*

Gazeta a książka!

Na pytanie — jakie masz książki? — bardzo często usłyszy się odpowiedź, że żadnej, bo gazeta za złotówkę na kwartał zastąpi zarazem i dobrą książkę.

Pewnie, że pochwalić można, iż nie zasklepiliśmy się w ciasnem kółku najbliższego otoczenia i że ciekawość nas bierze, co się też dzieje tam gdzieś po za naszemi granicami, ale mimoto powinnyby, o wiele więcej jeszcze, niż kwestye międzynarodowe i dalekie, obchodzić nas zagadnienia bliższe, to jest przedewszystkiem sprawy naszego własnego społeczeństwa.

Nikt nie przeczy, że gazeta kształci i że w pewnych warunkach jest nawet jedynym środkiem rozwijania umysłu, ale nie należy podtrzymywać ogółu w ucierającem się coraz bardziej mniemaniu, jakoby książka przy pewnej obfitości potocznych wydarzeń była już zbyteczną.

Różnem jest bowiem zadanie gazety, a zadanie książki. Prasa informuje nas o najświeższych wypadkach, a czyni to w krótkości i zwykle bez komentarzy, które czytelnik dorobić sobie powinien, jeśli ma wogóle jakąś korzyść odnieść z czytania.

Książka zaś opisuje nie sprawy dzisiejsze, ale to, co się działo kiedyś i to w sposób tak wyczerpujący, że i mniej uważny czytelnik potrafi naukę w niej zawartą zastósować do siebie i do swego otoczenia.

Gazety stały się potrzebą, bo ludzie chcą wiedzieć, co się o tej samej porze dzieje i gdzieindziej, a książki znowu wzięły swój początek stąd, że ludzie ukochali swoje ideały: bohaterów, obrządki, dzieje — swoją przeszłość całą.

Gazeta rano powstaje, a niknie wieczorem, lecz książka trwa przez wieki całe, bo choć ludzie się zmieniają, to jednak prawda zawarta w książce, wiecznie jest ta sama i urok wywiera nieprzeparty na ogół, który ceni piękno i wszystko, co posiada jakąś niezwykłą wartość moralną i estetyczną.

Nie powtarzajmy więc bezmyślnie, że bez książki obyć się można, bo jeśli się zadowolnimy tylko codziennemi wiadomościami, a niezrozumiemy wartości ideałów, to wnet pójdziemy koleją narodów, które nam niczem prócz zmiennego powodzenia i prócz siły imponować nie mogą.

Gazety na dzień dzisiejszy, a książki na to, abyśmy pozostali, czem jesteśmy i byli, czem być chcemy.

Na to są Czytelnie Ludowe!

Zebrania i wiece.

W niedzielę dnia 18-go listopada 1906 roku odbędą się:

We Wronkach
wiec relacyjny o godz. 4-tej po poł. na sali hotelu Gegenmantla.

W Poznaniu
na starej sali Bazarowej dla parafii *św. Wojciecha*, o godzinie 4-tej po południu.

W Dębcu
pod Poznaniem; o godz. 3-ciej po poł. na sali p. Andrzeja Thaberta.

W Opalenicy
o godz. 5-tej po poł. na sali p. Liszyńskiego.

W Lipsku
na sali „Thalia" przy Elsterstrasse w *środę* dnia 21-go listopada.

Dla Swarzędza i okolicy w Nowejwsi
p. Niemojowskiego, o godz. pół do 1-ej.

Na Wildzie
pod Poznaniem; o godz. 4-tej po poł. na sali p. Patza.

W Żninie
wiec wyborczy dla pow. żnińskiego; o godz. 2-giej po poł. na sali p. Bukowskiego; przybędzie poseł p. Janta-Polczyński i ew. jeszcze drugi poseł.

W Tucholi
w Pr. Zach.; o godz. 4-tej po poł. na sali p. Neumanna.

W Świeciu
w Pr. Zach.; o godz. 1-szej w poł. na sali Zamkowej.

Ruch w Towarzystwach.

— **Halla n. S.**, dnia 7. 11. 1906. Towarzystwo Polskie Katolickie „Orzeł" w Halle n. S. odbyło dnia 11-go października r. b. walne zebranie, na którem nazwa Tow. została zmienioną na *„Towarzystwo Polsko-katolickie pod wezwaniem św Franciszka."* W skład wchodzą następujący członkowie:
Jan Kurzawski, przewodniczący.
Józef Kempiak, sekretarz,
Jan Kaczmarek, skarbnik,
Michał Klimek, bibiotekarz.

Posiedzenia odbywają się co niedzielę w lokalu Jägerhof przy Lipskiej ulicy 64 wieczorem o godz. 6-tej.

Za Zarząd
Józef Kempiak, sekretarz.

Wiadomości.

* **Zwracamy uwagę** czytelników, iż wiersz umieszczony w numerze 45-ym *„Pracy"* na stronie 1746 jest wzięty z zbioru poezyi p. Jadwigi S., gdzie znajduje się na str. 68 pod tyt. *„Piosenka ludowa."* Myśmy wiersz ten powtórzyli za „Zorzą" warszawską, w której widocznie jakiś wrzekomy poeta zmienił tytuł na *„Zorzeńkę."*

Prosimy więc Szan. Czyt. przekreślić w każdej zwrotce „Zorzeńka," a napisać *„Piosenka."* Szan. autorkę przepraszamy za omyłkę nie z naszej winy spowodowaną.

* **Powiadomienie:** Od znanej poetki, p. *Jadwigi Strokowej* odbieramy następujące pismo:

Wszystkich tych, którzy używają moich wierszy na przedruki z moim podpisem ,lub na przeróbki fałszujące tytuł, zawiadamiam, iż będę do odpowiedzialności wzywała. Rzeczą uczciwych ludzi jest cudzej własności nie zabierać, tak powinno być, ażeby wszelka kradzież była piętnowana.

Jadwiga Strokowa.

Polskie pisma ludowe proszę o powtórzenie tego powiadomienia.

* **Sprostowanie.** W notatce, zamieszczonej pod tym tytułem w ostatnim numerze „Pracy" należy wszędzie czytać **Pułkowo** zamiast Sułkowo. W manuskrypcie głoska „P" tak nieczytelnie była napisaną, że miała zupełne podobieństwo do głoski „S." i ztąd omyłka w druku. Manuskrypt zachowaliśmy jako dowód.

Przy tej sposobności upraszamy Szanownych Czytelników, aby w nadsyłanych korespondencyach, notatkach i t. p., dla uniknięcia omyłek w druku, *jak najwyraźniej wypisywali nazwiska osób i miejscowości.*

* **Hakatyści w Dreźnie** jakoś mało szczęścia mają ze swemi zebraniami. Już od lat wielu starają się oni tutejszej publiczności na „polskie niebezpieczeństwo" oczy otworzyć, wmawiając jej, że sprawa polska nie same tylko Prusy, lecz wszystkich prawowiernych Niemców obchodzić powinna.

W tym celu zwołali oni — z wielkiem tam-tam — po kilku dawniejszych bezowocnych próbach, ponownie, w sobotę dnia 10 b. m. do wielkiej sali tutejszego „Tivoli", która wygodnie 1500 osób pomieścić może, tak zwane publiczne zebranie. Niestety zebrało się nie 1500, lecz zaledwie 200 osób, z pomiędzy których mniejsza połowa z naszych ziomków, Polaków, się składała. Jako mówcę sprowadzono, z braku stósownych sił na miejscu, znanego radcę „sprawie-

dliwości" Wagnera z Berlina, który w swoim referacie dał wybitne dowody nie tylko tak dobrze nam znanej etyki krzyżackiej, lecz także zdumiewającej nieznajomości historyi, nie tylko polskiej lecz nawet i pruskiej. „Królestwo" bowiem polskie zostało według niego wskrzeszone przez Napoleona w r. 1808 czy 09-ym, podczas gdy w rzeczywistości nie było to wcale Królestwo, tylko mała część jego pod nazwą „Księstwa Warszawskiego", i nie było to w roku 8-mym czy 9-tym, lecz poprostu w 6-ym. Dalej obwieścił szanowny mówca światu tutejszemu, że pierwszy rozbiór Polski został na ówczesnym sejmie polskim jednogłośnie, bez najmniejszego protestu ze strony polskiej, potwierdzony, (A Rejtan?) więc dzisiejsi Polacy już tem samem prawo tracą protestowania przeciw swemu politycznemu położeniu. Wszelkie zalety, jakie chwilowo ludność polska w Poznańskiem posiada, zawdzięcza ona nie czasem swej narodowej odrębności, lecz im, Prusakom. (Istnie rozczulające). Dawniej bowiem o wielu rzeczach, któremi dziś Polacy w Prusach się cieszą, ani mowy u nich nie było. (Szanowny mówca miał widocznie na myśli koleje żelazne, których, ze wstydem przyznać należy, w ówczesnej Polsce jeszcze nie było).

Wobec tych wszystkich dobrodziejstw ze strony pruskiej odpłacają się Polacy jaknajmarniejszą niewdzięcznością, bojkotując ziemię, w rękach niemieckich się znajdującą, i zaprowadzając na domiar złego ten niesłychany strejk szkolny. Co się tyczy instytutów finansowych polskich, to mówca był zdania, że Polakom bezwarunkowo pomoc pieniężna płynąć musi z Francyi i z Włoszech, od tamtejszych zakonów, które, majątki swe w swojej ojczyźnie zagrożone widząc, w polskich bankach umieszczają (sic.). Cały zaś strejk szkolny polega nie czasem na patryotyźmie polskim, bo takowy prawie wcale nie istnieje, lecz na sztucznem podburzaniu ludności polskiej przeciwko rządowi pruskiemu, jakie leży w interesie nielicznych demagogów. Ci ostatni widocznie nie wiedzą — z emfazą — jaką krzywdę moralną wyrządzają tej biednej dziatwie, która się oczywiście na anarchistów i rewolucyonistów(!!!) wykierować musi. Czemuż oni wreszcie od rządu żądają zaprowadzenia nauki religii w języku polskim, kiedy Kościół katolicki sam obcym językiem, łaciną, się posługuje. (Mamyż więc: nie rząd podkopuje naturalne prawa rodzicielskie, lecz nabożni rodzice polscy ojcowskie prawa rządu pruskiego).

W końcu przyjęto jednogłośnie (bo bez głosowania) rezolucyę, w której obecni wyrażają kanclerzowi niemieckiemu gotowość energicznego popierania walki na kresach wschodnich, przeciw niewdzięcznym i hardym Polakom się toczącej.

Z obawy przed dyskusyą zamknął przewodniczący nagle i niespodziewanie zebranie, którego przebieg, bądź co bądź, dał świadectwo usposobienia nie szerokich warstw tutejszej ludności, lecz kilku pożałowania godnych, niepoczytelnych szowinistów.

W. W.

* **Dowiadujemy się**, że podobno pp. rektorzy i nauczyciele grożą dzieciom wydaleniem ojców z urzędów miejskich lub odebraniem im pracy przy miejskich instytucyach. Tak samo odbierają rektorowie dzieciom miejskie książki i nasyłają im za to policyę i mandaty karne. Chodzi nam o stwierdzenie podobnych wypadków i dla tego prosimy odnośne osoby, aby się do nas zgłosiły.

* **Dla pobierających rentę.** Coraz częściej się zdarza, że ze strony szkoły *grozi się odebraniem renty* ojcom opornych dzieci, o ile ją naturalnie pobierają. Z nad Gopła donoszą do „Dziennika Kuj.", że wielu rzeczywiście się ulękło i dzieci ich teraz po niemiecku w religii odpowiadają.

Jak pod wielu innemi względami tak i tutaj niestety brak uświadomienia ludu naszego odgrywa wielką rolę. Gdyby rodzice wiedzieli, że renta — to *nie* łaska ze strony państwa, ale ich słuszne *prawo*, nabyte spełnieniem pewnych warunków, to z pewnością nie ulękliby się panów strachów, którzy spekulują na głupotę ludzką. *Renty nikomu ze względów politycznych odebrać nie można.* Jeżeli ktoś sobie na rentę zasłużył, choćby dziecko nawet po turecku odpowiadało, odebrać mu jej nikt nie może.

* **Konfiskata:** Numer „Lecha", w którym tenże podaje odezwę księży pow. lubelskiego w Prusach Zach. w sprawie obrony polskiej nauki religii w szkole — został *skonfiskowany.*

* **Ze strajku.** Grono większych obywateli wiejskich, posiadających szkoły w majątkach swoich, postanowiło tym rodzicom, których dzieci dla udziału w strajku szkolnym władza przetrzymywać chce poza rok 14-ty, dać z własnych funduszów odszkodowanie za siłę roboczą którąby dzieci reprezentowały, a którą w ten sposób tracą.

Powyższa wadomość jest jednym więcej dowodem na to, że sfery obywatelstwa wiejskiego żywo się interesują obecnym ruchem szkolnym i czynnie choć pośrednio niosą poszkodowanym pomoc. — Tak pisze kościańska „Gaz. Polska".

* **Ks. kardynał Fischer** z Kolonii — a język polski. *W Oberhausen* na obczyźnie odbył się wiec w sprawie opieki duchownej. Pan Józef Szulc zdawał sprawę z przyjęcia, jakiego doznała deputacya u arcybiskupa kolońskiego kardynała Fischera. Proszono o nabożeństwa polskie przedpołudniowe co niedzielę i święta, o lepszą opiekę duchowną, o przygotowanie dzieci w polskim języku do Sakramentów św. oraz o używanie języka polskiego przy chrztach, ślubach i pogrzebach. Co się tyczy dzieci, to ks. kardynał odpowiedział: *iż nie zezwala, aby miały być przygotowane w języku polskim, ponieważ jest przekonany, iż dzieci rozumieją to, czego się uczą po niemiecku.*

* **48 sołtysów**, członków dozorów szkolnych i ławników gminnych zwołał według „Lecha" landrat mogilnicki na termin i nakłaniał ich, aby w sprawie religii cofnęli swe zakazy. Kiedy tego nie uczynili, wszystkich 48 złożył z urzędów. — Takie gromadne składanie ludzi z urzędów gminnych musi rzekomo pokaranych przekonać o tem, jak nisko rząd te urzędy ceni — a to naturalnie znowu obniży powagę państwa. Jak to się dziwnie plecie na tym Bożym świecie! Czy to nie fatalność, że urzędnicy tego rządu, który tak bardzo czuły jest na punkcie swojej powagi — sami tę powagę tak mało poważają?!

— Złożono z urzędów członków dozoru szkolnego także następujących księży: ks. dr. Surzyńskiego z Kościana, ks. dr. Opielińskiego z Kcyni i ks. radcę Laubitza z Inowrocławia, ks. prob. Zborowskiego landrat nie potwierdził na ten cenny urząd.

* **Zmarznięcie a zabezpieczenie.** Pewien robotnik szedł z pracy do domu, a była zima i zawieja śnieżna. W drodze tej nieszczęśliwy zesłabł, upadł i zmarzł.

Pozostała po nim rodzina żądała potem renty takiej, jaką dostają rodziny po robotnikach, którzy wskutek nieszczęścia przy pracy życie postradali. Rodzina ta twierdziła, że jej żywiciel zginął w drodze z pracy do domu,, że więc nieszczęście to ma łączność z pracą zawodową zmarłego.

Atoli sądy były innego zdania. Uznały one, że śmierć nieszczęśliwego nie była wypadkiem nieszczęśliwym w zawodzie. Tego samego zdania był też najwyższy urząd zabezpieczeniowy rzeszy niemieckiej, który apelacyę rodziny odrzucił i orzekł mniejwięcej co następuje:

Jeżeli praca zawodowa (czyli zawód) nie jest prostą przyczyną śmierci, wtedy pozostała po zmarłym rodzina nie ma żadnego prawa do renty lub odszkodowania. W powyższym wypadku spotkała robotnika śmierć, gdy ten był w drodze do swego mieszkania; zmarł on, gdy był bardzo znacznie od miejsca pracy oddalony. Gdy zmarły został zawieją śnieżną zaskoczony, nie miał on już żadnego stosunku czyli łączności z miejscem zawodowej pracy. Zasadniczo zresztą trzeba wychodzić z tego prawidła, że nieszczęść zdarzających się w drodze z pracy do mieszkania, nie można już uważać za nieszczęście w zawodzie, i że dlatego żadna renta (czyli odszkodowanie) po takich nieszczęściach przyznaną być nie może.

Wyrok ten spamiętać sobie należy, aby w danych razach nie narażać się na daremne koszta procesowe.

* **Dola redaktorów:** Pan Sylw. Czarnecki, któremu groziła niezliczona ilość procesów z powodu artykułów w „Gazecie Polskiej" w Kościanie, opuścił księstwo i udał się do Krakowa. Z okazyi tej skorzystał p. dr. Nowakowski, *prezes* miejskiego komitetu, by na p. Cz. w niesłychany napaść sposób. Obelgi jak dureń, łotr, przybłęda, nikczemnik i t. p. posypały się potokiem. Grono kościańskich obywateli z ks. dr. Surzyńskim na czele przeciwko tej napaści publicznie zaprotestowało: Protest ten podkreślamy z naszej strony i postaramy się o to, ażeby tow. dzien-

nikarzy i literatów odpowiednie w tej sprawie zajęło stanowisko.

* **Posądzenie księży!!** „Lech“ donosi, że w *Modliszewku* i *Jarzębkowie* odbyły się sądowne indagacye dzieci. W M. prokurator badał 40 osób, co ks. prob. Formanowicz mówił z ambony w sprawie strajku i kto wypisywał rodzicom karteczki. — W J. wypytywał sędzia śledczy dzieci uczęszczające na naukę przygotowawczą do Sakramentów św., czy im ksiądz kazał nie odpowiadać w religii po niemiecku. Wiele dzieci podobno przywtórzyło — inne przeczyły.

Widocznie chodzi tu o zastraszenie ludności polskiej. Za „kulturkampfu“ gorzej było, a przecież — i kulturkampf się skończył.......

* **Pan Maciej Wierzbiński**, znany dobrze czytelnikom naszym redaktor „Pracy“ odsiaduje, jak wiadomo, podyktowaną mu $1^1/_2$ roczną kaźń więzienną — obecnie we Wronkach. W sprawie tej pojawiła się obecnie w naszych i obcych pismach wieść, że 25-ciu wybitnych literatów podało do cesarza prośbę o ułaskawienie. Cesarz prośbę tę odrzucił. — Według naszych informacyi starania o uwolnienie p. Wierzbińskiego robiła matka przebywająca w Londynie. Prośba o ułaskawienie przedłożona została cesarzowi za pośrednictwem księżniczki Elżbiety Radziwiłłówny. Odpowiedź brzmiała odmownie. Prośbę matki — być może — poparli owi 25 literaci angielscy.

Niestety — skutek ten sam: odmowa.

* **Poznań.** W piątek ub. tyg. przyjął ks. Arcybiskup grono obywateli, w których imieniu p. dr. Jackowski z Wronczyna dziękował mu za starania, podejmowane w sprawie nauki religii w języku ojczystym. Ks. Arcybiskup podziękował serdecznie i wyraził nadzieję, że Pan Bóg w trudnościach obecnej chwili ześle pociechę tak dla Kościoła, jak rodziców i dziatwy szkolnej.

* **Komunikat:** *Od Towarzystwa Czytelni dla kobiet w Poznaniu* odbieramy z prośbą o umieszczenie następujące pismo:

Przy nadchodzącem półroczu zimowem podajemy do wiadomości Szanownym Członkom Czytelni dla kobiet, że w każdy piątek wieczorem odbywają się *pogadanki* w lokalu Czytelni. Przypominamy zarazem, że w Czytelni znajdują się wszystki codzienne pisma i że dział beletrystyczny jest doborowo zaopatrzony. Dla wygody Szanownej Publiczności urządziłyśmy osobny pokój dla czytających. Wstęp mają *i nieczłonkowie* za opłatą 10-ciu fenygów. Mamy nadzieję, że z tych dogodności jak największa ilość osób korzystać będzie.
Wydział.

* **Szlachetny Niemiec.** Z Kruświcy piszą do „Dzien. Berl.“, że p. Wilde, dziedzic Bieganowa, zakupił 50 elementarzy polskich dla polskich dzieci swego dominium, aby im ułatwić naukę czytania i pisania w języku ojczystym. Sprawą tą ma się nadal zajmować jego urzędnik gospodarczy, Polak. Cześć takiemu Niemcowi — jakże on odbija wśród zgrai dotkniętych wścieklizną antypolską sztreberow!

* **Ostrzeżenie.** Policya gnieźnieńska wzięła się na sposób. Chodzą jacyś jej wysłannicy po domach, wzywając do podpisania się na niemiecki wykład religii tych rodziców, których dzieci strajkują.

Baczność więc rodzice polscy w Gnieźnie. To samo dotyczy Kcyni.

* **Kupno:** Wioska szlachecka Miaty w powiecie Witkowskim blisko 900 mórg wielka, z bardzo dobrą ziemią i ślicznemi budynkami — przeszła mocą kupna na własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu.

Miaty były od przeszło 40 lat w dotychczasowych rękach Niemca p. Frische, który dla podeszłego wieku sprzedał majątek ten p. v. Rabe przed kilku tygodniami, a tenże następnie powyższej firmie.

Zdanie gospodarstwa i przewłaszczenie już nastąpiło.

Wskutek nader korzystnego położenia — bo tuż przy mieście gimnazyalnem Trzemesznie oraz licznych domów na majątku — będą Miaty parcelowane lub też sprzedane w całości.

* **Kupno.** *Trzy tysiące i dwieście mórg* przeszło w powiecie szamotulskim w ręce polskie, z których prawdopodobnie już nie wyjdą, jeżeli ziemiaństwo nasze majętniejsze stoi na wysokości swego zadania. Dotychczasowy właściciel Zajączkowa p. B. Warsiński, który od lat ośmnastu doprowadzał majątek ten wielkopański do wysokiej kultury, wolał sprzedać ziemię Polakowi aniżeli obcej instytucyi, która mu dawała blisko 300.000 mk. więcej, aniżeli nowonabywca. Majątek ten kupił p. Antoni Mniszewski z Poznania, który gotów go oddać w ręce adsolutnie pewnego rodaka z kompletnie uregulowaną hipoteką i stosunkowo niewielką zaliczką. Nadmieniamy, iż Zajączkowo ma 1000 mórg lasu i zagajeń, wspaniały żywy i martwy inwentarz oraz nienaruszone tegoroczne żniwo, przytem pałac, park, położenie i piękne położenie. Reflektanci na majątek ten rycerski zechcą się zgłosić do p. A. Mniszewskiego w Poznaniu przy ul. Wilhelmowskiej 15. I p.

* **Z teatru:** W poniedziałek odegrano po raz 5-ty *„Dziady“* Adama Mickiewicza, w układzie scenicznym St. Wyspiańskiego przy szczelnie zapełnionym teatrze; we wtorek po raz czwarty grano *„Marnotrawnego ojca“* Bernarda Shawa; komedya ta wzbudziła u publiczności naszej więcej zainteresowania, aniżeli pierwotnie się spodziewać było można. Rzecz to istotnie bardzo ładna, pełna sytuacyi doprawdy komicznych — godna widzenia. W środę po raz trzeci *„Bagienko“* Bolesława Gorczyńskiego. Przedstawienie zakończono jednoaktówką Adolfa Nowaczyńskiego p. t. *„Prawo Mimicry“*. W czwartek po raz ostatni *„Wesele Figara“*. Na sobotę zapowiada Szanown. dyrekcya jako nader efektowne dzieło sceniczne: *Górą Radziwiłł“*. Rzecz ta ujęta jest w 7 obrazów, przeplatana śpiewami i tańcami, autorem Adolf Walewski. *„Górą Radziwiłł“* przedstawia rycerskie epizody i miłosne kłopoty księcia Radziwiłła panie kochanku. Wspaniały ten utwór sceniczny ozdobiony śpiewami, tańcami, między innemi np. tańcem niedźwiedzi i t. d. na wszystkich scenach polskich wielkiem cieszył się powodzeniem.

W niedzielę *popołudniu* o godz. 3 *„Dziady“*, potężne dzieło dramatyczne w 6 obrazach Adama Mickiewicza, w układzie scenicznym St. Wyspiańskiego. (Ceny do połowy zniżone)

W niedzielę *wieczorem* po raz drugi: *„Górą Radziwiłł“*.

W poniedziałek: *„Obrona Częstochowy“*. (Ceny do połowy zniżone).

W wtorek: *„Górą Radziwiłł“*. W środę przedstawienia nie będzie. W czwartek *„Uczta Herodiady“*.

Zamówienia biletów na popołudniowe przedstawienia przyjmuje kasa popołudniowa tylko w środę między godziną 5 a 7-mą wieczorem.

* **„Pieśń o ziemi naszej“** — utwór jubilata p. Bolesława Dembińskiego — odśpiewana na ostatnim koncercie „Koła śpiewackiego“, ściągnęła niestety mało publiczności, co w każdym razie świadczy niepochlebnie o naszej publiczności i jej oziębłości dla wielkiego dzieła naszego wielkopolskiego mistrza-kompozytora.

Wykonanie „Pieśni o ziemi naszej“ przeszło nasze oczekiwanie. Widoczną była nader gorliwa praca tak śpiewaków jak też dyrygenta p. Kazimierza Ernsta. Cześć im za to!

Bez zaprzeczenia z towarzyszeniem orkiestry wypadłoby to arcydzieło o wiele lepiej.

* **Ks. biskup Ropp do Rzymu.** Czytamy w „Dzien. Berl.“: Biskup wileński ks. baron Ropp opuścił Berlin po jednodniowym pobycie i udał się w dalszą drogę do Rzymu, gdzie będzie miał w ważnych sprawach swojej dyecezyi posłuchanie u Papieża i konferencye z kardynałem Merry del Val.

Redaktor p. Fr. Krysiak w polskim hotelu Metropole, powitał go imieniem Polaków berlińskich i przedstawił upośledzenie Rodaków dyaspory brandenburskiej w dziedzinie kościelnej.

Ks. biskup Ropp, mąż wielkiej wiedzy i poważny polityk — w Dumie rosyjskiej jako poseł z Litwy znaczną odgrywał rolę — okazał się dobrze poinformowany o położeniu Polaków w zaborze pruskim, wiedział także o walce Polaków na obczyźnie przeciw zgermanizowaniu przez czynniki kościelne niemieckie, gdy jednak usłyszał, że jest tam parafia, w której według własnego świadectwa proboszcza żyje 4000 Polaków, a w której dotąd nie było ani jednego kazania polskiego, gdy się dowiedział teraz, że księża wzbraniają się też polskie dzieci przysposabiać do pierwszych Sakramentów świętych w języku polskim, wyraził zdziwienie i zawołał: Ależ to sprzeciwia się wręcz najprostszym zasadom Kościoła katolickiego!

Taki sąd wydał biskup polski o postępowaniu księży niemieckich względem polskiej ludności katolickiej.

* **Swarzędz,** 11-go listopada. Chcieliśmy tu urządzić na sali pana Marco wiec, na którym poseł Chrzanowski miał zdać sprawozdanie z czynności poselskiej. Lecz niestety, p. Marco, aczkolwiek ma znaczne dochody z Polaków tutejszych, u które-

go dotąd odbywały się zabawy i teatry amatorskie, sali na wspomniany wiec nam odmówił, tłumacząc się, że mu tak z góry zakazano. Pod temi samemi pozorami nie udziela sali tutejszemu „Sokołowi“ do ćwiczeń.

Donoszę o tem w tym celu, ażeby wyjaśnić mylne zapatrywania niektórych naszych panów, że pan Marco jest zupełnie „bezstronny“ i Polakom „przychylny“.

Owa bezstronność i przychylność powinna nam teraz oczy otworzyć. Towarzystwa nasze, których mamy trzy, już zrobiły swoje.

* **Nowi sprzedawczycy.** *Z Gniewkowa* piszą do „Dzien. Kuj.“

„Mamy w naszej parafii dwóch sprzedawczyków. Pierwszym jest *Młynek*, dawniej z Chrząstawy. Sprzedał on, nie radząc się nikogo, bardzo tanio swoją 17-to morgową bytnerkę na Chrząstawie Niemcowi i tak zaprzepaścił kawał ziemi polskiej. Drugim sprzedawczykiem jest Franciszek *Nowacki*, gospodarz z Perkowa. Od swojego gospodarstwa, 60 mórg wynoszącego, sprzedał Niemcowi 20 mórg i tak wprowadził on do gminy perkowskiej pierwszego Niemca. Postępek Nowackiego tem gorszy, że ten kawał polskiej ziemi już nigdy do rąk polskich wrócić nie może, bo Niemiec ów, tworząc nową kolonię, musiał się zobowiązać i w księdze hipotecznej to zapisać, że kolonia ta nigdy w ręce polskie nie przejdzie. Oburzenie na Nowackiego wielkie! — i słuszne!

* **Ślub.** W *„Mazurze,“* wychodzącym w Szczytnie w Prusach Wschodnich, czytamy:

Dnia 3-go listopada pobłogosławiony został w kościele w Rogozach związek małżeński pomiędzy panem *Stanisławem Zielińskim*, redaktorem pisma naszego, a panną *Danusią Sieversówną* z Rozóg. Gości weselnych przyjmowała matka panny młodej. Przy dźwiękach doborowej muzyki bawiono się do świtu. Na ślub nadesłano z życzeniami blisko 200 telegramów z różnych stron: z Poznania, z Wielkopolski, ze Śląska, Galicyi, Lwowa, Krakowa, Kijowa, Warszawy i z obczyzny. Między innemi nadesłali nowożeńcom błogosławieństwo generalny superintendent ksiądz dr. Juliusz Burche, księża pastorzy: Badura i Michejda, posłowie do parlamentu i sejmu, oraz bardzo wiele znajomych i przyjaciół państwa młodych. Nowożeńcy udali się w podróż do Warszawy.

* **Kępno.** W Siemianicach w powiecie kępińskim powstało w niedzielę 4 bm. Towarzystwo Ludowe pod wezwaniem św. Idziego. Choć na krańcu Księstwa, duch nie upadł. Przeszło 130 zapisało się wiarusów na członków nowego towarzystwa. Prezesem jest ks. proboszcz Kozierowski w Siemianicach, a zebrania będą się co dwa tygodnie odbywały w księżym śpichrzu.

* **Krotoszyn.** Kółko Amatorskie w Krotoszynie urządza w niedzielę dnia 18-go bm. wieczorem o godzinie 7 i pół na sali p. Stencla przedstawienie teatralne na cel dobroczynny. Odegrany będzie dramat Maskoffa w 5 aktach „Tamten“, osnuty na tle stosunków polsko-rosyjskich.

O liczny udział prosi uprzejmie

Komitet.

* **W Wągrówcu** w 5. i 6. klasie *przywrócono* polski wykład religii. Podobnie dzieje się w okolicznych szkołach, gdzie strejk jest w całej pełni.

* **W Wągrówcu** tym razem odbył się wiec bez przeszkody ze strony policyi. Za to dozór żandarmeryi był nadzwyczajny. Szesnastu (!) uzbrojonych żandarmów napróżno czekało na rewolucyę (?) polską. Na wiecu przemawiali pp. poseł Janta-Połczyński, Kazimierz Walewski, obywatel z Wągrówca i ks. prob. Kopernik. Uchwalono rezolucyę do N. Ks. Arcybiskupa i ministra oświecenia.

* **Z Kościańskiego.** W Rombiniu odbyła się dnia 11-go b. m. rzadka uroczystość *złotego wesela* małżonków Apolinarego i Maryanny z domu Kurtkowiak Kucnerowiczów. Na intencyą czcigodnej pary złotej odprawiło się nabożeństwo w miejscowym kościele. Dzieci i wnuki stawili się licznie i wraz z wielu gośćmi składali życzenia sędziwym Jubilatom; oby im Bóg zezwolił doczekać wesela dyamentowego! Na uroczystość nadeszło z bliska i z daleka nawet z Ameryki mnóstwo telegramów Kościuszkowskich.

* **Gniezno.** W sobotę pozbawieni zostali pracy w gazowni tutejszej czterej robotnicy Polacy, ponieważ nie chcieli podpisać zobowiązania, że dzieci ich będą się religii po niemiecku uczyły.

* **Ostrzeszów.** *W Parzynowie* uczą w szkole, dzięki wytrwałości rodziców i dzieci, religii obecnie *znowu po polsku.* Dzieciom wolno nawet pochwalać Pana Boga po polsku.

* **Koźmin**, 8-go listopada. Rektor tutejszy v. Krzywosiński nie pozwala dzieciom w środy i w soboty w czasie popołudniowym, w którym od niepamiętnych lat ksiądz przygotowuje do sakramentów św., przychodzić na tę naukę, tłumacząc się tem, że dzieci, które w środy i soboty przed południem mają lekcye religii, a na nich po niemiecku odpowiadać nie chcą, za to od pół do 3. do pół do 4. po poł. mają lekcyę niemiecką: „Sonderunterricht“ im Deutschen. Lekcyi tych rzekomo na inne dnie przełożyć nie może.

* **Koźmin.** Dnia 11. listopada o godzinie 4 odbył się na sali hotelu du Nord wiec relacyjny, bez przeszkody ze strony policyi miejscowej i poznańskiej. Wiecowników zebrała się tak wielka liczba, że nie wszystkich wpuszczono na dość obszerną salę. Wpuszczono tylko na rozporządzenie policyi 300 osób, reszta za drzwiami i przy oknach chętnie chwytała słowa mówców, by choć częścią wynagrodzić sobie trudy za przebytą drogę.

Po zagajeniu wieca przez pana Chosłowskiego z Czarnegosadu, prezesa okręgu, po przywitaniu szanownych posłów ks. prałata Jazdżewskiego i dra Antoniego Chłapowskiego zabrał głos ks. prałat Jazdżewski, który w godzinnem, treściwem, dokładnem i dla każdego jasnem przemówieniu wyjaśnił sprawy nasze, nad któremi debatowano podczas obrad tak sejmu jak też parlamentu w ubiegłej kadencyi. Następnie zabrał głos poseł dr. Chłapowski i w nadzwyczaj wymownych i ciepłych słowach przedstawił zebranym w dłuższej mowie obraz walki naszych posłów polskich w sprawie uchwalonych przez parlament nowych podatków, szykan poczty, utrudnień w urzędach stanów cywilnych i w urzędach policyjnych, dalej w sprawie niesprawiedliwego systemu wyborczego do sejmu, do którego rząd wniósł drobne poprawki, wreszcie w sprawie fałszywego systemu, stosowanego w naszych szkołach wogóle, a przedewszystkiem przy nauczaniu prawd wiary, którego nawet dość znaczna część społeczeństwa niemieckiego nie pochwala. Szanowny poseł przemówienie swe zakończył gorącem wezwaniem do wyborców, by jak dotąd wiernie stali przy sztandarze narodowym, by w walce o sprawiedliwość i skarby ojczyste wytrwali.

Następnie zabrał głos z grona wiecowników na sali obecny sekretarz p. Starkowski i przemówił gorąco i patryotycznie w pięknych i porywających słowach, które do serca każdego trafić musiały, kładąc nacisk na obecny, trudny i opłakany stan nasz, zachęciwszy w końcu wszystkich do jedności, łączności, zgody i miłości bratniej.

Wszystkim mówcom podziękowano hucznemi oklaskami.

Po prawie dwugodzinnych rozprawach zamknął przewodniczący p. Chosłowski zebranie okrzykiem na cześć posłów.

Duchowieństwo i obywatelstwo okoliczne stawiło się w komplecie. Sekretarzem wieca był znany z gorliwości swej p. dr. Wyszyński.

Jeden z wiecowników.

* **W Ostrowie** odbył się ub. niedzieli wiec relacyjny, na którym przemawiali posłowie ogręgu tamtejszego pp. Dr. Felicyan Niegolewski i Dr. Mizerski.

* **Ostrów.** Liczące 400 (?) członków niemieckie stowarzyszenie wyborcze postanowiło rozciągnąć swe czynności także na wybory w ciaśniejszym zakresie np. do dozoru szkolnego, kasy chorych itp., a przy przyszłych wyborach do rady miejskiej postawi wyłącznie niemieckich kandydatów. W ten sposób spodziewają się wyprzeć wszystkich Polaków z rady miejskiej.

* **Krotoszyn.** Z powodu strajku szkolnego mają być ustanowieni jeszcze dwaj nauczyciele, tyleż w Kobylinie, a jeden w Dobrzycy.

Czy tylko zapas starczy?

* **Śrem.** Odbyło się tutaj zebranie dozoru katolickiej szkoły, gdzie obradować miano nad wybudowaniem czterech nowych klas szkoły, oraz urzędowego mieszkania dla głównego nauczyciela. Polscy członkowie dozoru przeczytali protest, a potem się oddalili, pozostali Niemcy oczywiście wszystko uchwalili.

Koszta utrzymania dwóch nowych nauczycieli wynoszą 1840 mk.; podwyższono zatem podatki szkolne w Śremie oraz w należących do miasta gminach Błażejewie i Biernatkach o 75 procent.

* **W Witkowie** stawało 8 listopada 5 gospodarzy z Ruchocinka przed

sądem ławniczym w sprawie kar szkolnych, za nieposyłanie dzieci na areszt.

Skazano ich na markę kary każdego. Sędzia wywodził, iż skoro szkoła nakaże areszt lub „Ersatzstundy“, jak to nazwał p. nauczyciel Sobolewski, wtedy są rodzice zobowiązani swe dzieci posłać, a że tego nie uczynili, podpadają karze, skoro sądzą, że dzieci zbyt są obciążone pracą, mają prawo udać się z zażaleniem do rejencyi.

* **Z Witkowa** donoszą, że za sprawą pani doktorowej Piskorskiej 60 dzieci okolicznych, które do szkoły tamtejszej uczęszczają i areszt odsiadują, otrzymuje w południe ciepły posiłek, aby biedactwa nie potrzebowały robić dalekiej drogi do domu lub też o głodzie czekać na areszt. — Zacna to Polka.

* **Z Wronek** piszą nam: O przyjęcie sierot do zakładu, o którym „Praca“ pisała w Nr. 45-tym, zgłaszać się należy, i to najskuteczniej osobiście, do miejscowego Wielebnego księdza proboszcza, który każdemu zgłaszające mu się oznajmi bliższe warunki. Pobyt sierot w zakładzie jest bezpłatny, jeżeli zobowiązani do płacenia wynagrodzenia są ubodzy, w przeciwnym razie należy się płacić skromne wynagrodzenie. — Każde dziecko katolickiego wyznania w wieku 2 do 14 lat ma prawo przyjęcia do zakładu sierot; mają atoli do tego pierwszeństwo sieroty z miasta, parafii i okolic Wronek, wreszcie dzieci z całego Szamotulskiego powiatu, a w razie wolnych miejsc i z dalszych stron archidyecezyi naszych.

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.“ Niechaj ta ofiarnica Chrystusowa pobudzi serca miłosierne tak parafian jak i mieszkańców bliższych i dalszych okolic do miłosierdzia względem miłosiernego chrześciańskiego zakładu, a mianowicie do rychłej pomocy na początkowe zagospodarowanie się w żywność, pościel, odzienie choćby i starzyznę.

* **Słonawy** w powiecie Szubińskim, dnia 8. 11. 06. Muszę też donieść kochanej „Pracy“ kilka słów z naszej wioski, gdyż sumienie mi nie daje spokoju, aby na to milczeć, *iż sprzedawczykostwo rośnie!* I tak z wiosną tego roku było parcelowane gospodarstwo wdowy p. Guderianowej, które przeważnie rozebrali Polacy, a pomiędzy nimi także p. Witt z Małych Słonaw kupił 29 mórg. Dalej dwa gospodarstwa pana Renza także kupili Polacy ze zabudowaniami. Tu znów p. Witt nabył także 12 mórg dobrej ziemi. Naraz p. Witt odstąpił swoje gospodarstwo swemu bratu, który wyżej wymienioną rolę, nabytą od obcych, odsprzedaje znów obcym napowrót, pomimo tego, że byli swoi, którzy chętnie chcieli tę ziemię odkupić, ale nie chciał im sprzedać. Ten pan znów kupił od Niemca p. Wizy na Margonińskiem Jeziorze wodny młyn, ale nie wierzymy mu, aby ten młyn dla siebie kupił...

Jeszcze jedna wiadomość. U nas dzieci strajkują w szkołach: w Szaradowie i w Eliżewie. W szaradowskiej szkole należał pan Putz, Polak do dozoru szkolnego, ale że podpisał formularz o polską naukę religii dla swych dzieci, odebrał uwiadomienie od inspektora szkolnego, że jest z urzędu zrzucony. Tak samo i pan Kowalkowski w Eliżewie, ze względu powyższego został także zrzucony z urzędu szkolnego. Ci panowie należą także do komisyi podatkowej. Gdy się w poniedziałek 5-go b. m. zebrała na sali p. Bergra taż komisya, komisarz zaraz tych panów na wstępie uwiadomił, iż nie są potrzebni, pewno także ze względu na podpis o polską religię.

Czytelnik „Pracy.“

* **Z Bydgoszczy.** Landrat bydgoski złożył z urzędów 17 polskich członków dozorów szkół. — Jak donosi jeden z ostatnich numerów „Kreisblattu.“ Wypadki te prawie wydarzyły się na dawnej Krajnie. Oczywiście kara ta spotkała ich za ciężką winę, że bronili słusznych swych praw rodzicielskich w szkole.

* **W Obornikach** odbył się ubiegłej niedzieli przy udziale około 300 osób wiec wyborców, na którym przemawiał poseł hr. Mielżyński.

* **W Przemencie** odbył się ub. niedzieli wiec, na którym przemawiał p. *Milski*. Uchwalono wysłać *prośbę do Ojca św.* w sprawie nauki religii.

* **Żnin.** Za inicyatywą grona pań i panów odbyło się w zeszłym roku przedstawienie amatorskie, połączone z koncertem, które wypadło pod każdym względem nadzwyczaj korzystnie.

Spowodowane tym wynikiem, urządza owe grono i w tym roku, a mianowicie dnia 18 b. m. na sali p. Bukowskiego koncert i przedstawienie amatorskie. Prócz utworów na fortepianie, śpiew i skrzypce, odegrane będą: „O Józię“ Bałuckiego i „Stryj przyjechał“ Koziebrodzkiego.

Ze względu na to, że czysty dochód przeznaczony na rzecz Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, spodziewamy się, że miasto i okolica swem licznem przybyciem cel dobroczynny poprzeć raczy.

* **W Chełmnie** w Prusach Zach. odbył się wiec, na którym przemawiał p. Rakowski, redaktor „Gaz. Grudz.“ Przyjęto rezolucyę przeciwko niemieckiej nauce religii, a domagającą się przywrócenia nauki polskiej. Wiec odbył się bez wszelkiej przeszkody. Natomiast w *Starogardzie* został wiec rozwiązany podczas przemówienia p. J. Brejskiego z Torunia.

* **Z Magdeburga:** Do jakiego znaczenia doszedł strejk dzieci polskich, niech posłuży dowód, że tutaj przy pierwszorzędnej ulicy „Breiterweg“ w oknie wystawnem pomiędzy innemi obrazami, wystawiono obraz przedstawiający kilkanaście dzieci wiejskich strejkujących, idących przez wieś i śpiewających pieśni polskie.

* **Ze Lwowa.** (Korespondencya „Pracy.“) Melancholijnie zadumana jesień objęła rządy nad naszym grodem. Nie mży wprawdzie deszczem, ani gra smutne preludya i nokturna wichrowe, ale czuć jej obecność wszędzie. W złocie i szkarłacie opadających liści, w słońcu blado uśmiechniętem i ostatnich więdnących kwiatach. Opustoszały ogrody spacerowe zawsze pełne szukających czystego powietrza i kryjówki przed gwarem wielkomiejskim. Natomiast ruch wielki panuje w klubach i lokalach stowarzyszeń.

Nowy sezon teatru miejskiego zapowiada się pomyślnie. Zasługa w tem przedsiębiorczości dyrektora pana Hellera, który publiczność lwowską zainteresować umie. A wielka to sztuka. Lwów od dawien dawna posiada markę miasta, mało dbającego o zaspokajanie potrzeb umysłowych. Jest to smutna prawda, ale ustawicznie znajdująca potwierdzenie. Nie dorównuje p. Heller znakomitemu swemu poprzednikowi Pawlikowskiemu, potrafi jednak czasem olśnić. Zwłaszcza opera i operetka bywają często bardzo poprawne, dramat jeno chroma nieco. Z wystawionych nowości teatralnych, zasługujących na wzmiankę, wymienię pięcioaktowy dramat znanego poety Jerzego Żuławskiego „La Bestia.“ Rzecz wzięta z dziejów Wenecyi. Nie ma w tym dramacie wielkiej głębi, geniuszu i szczytów natchnienia, jest natomiast rzetelny talent poetycki, umiejący zręcznie stare efekta ożywić i uszlachetnić. Tem się tłómaczy wielkie powodzenie utworu.

Teatr ludowy uzupełnia wybornie przedsiębiorstwo p. Hellera, zaspokajając potrzeby publiczności, szukającej śmiechu i rozrywki.

Sale odczytowe roją się od coraz nowych prelegentów. Słyszeliśmy niedawno cykl odczytów literata warszawskiego Cezarego Jellenty o Wyspiańskim i Żeromskim niezmiernie ciekawy i oryginalny. Rzucił on wiele nowego światła na twórczość tych pisarzy.

„Powszechne wykłady uniwersyteckie“ cieszą się zasłużenie liczną frekwencyą.

Wasza wytrwała i podziwu godna walka o naukę religii przechodzi u nas bez znaczniejszego wrażenia. Przypisać to trzeba silnemu zajęciu się zbliżającymi się wyborami do Rady państwa. Wszystkie polityczne stronnictwa krajowe czynią do nich przygotowania. Walka będzie zaciekłą i ciekawą zwłaszcza z tego względu, że toczyć się będzie już pod egidą nowego prawa wyborczego. O tem jednak napiszę później. *Stanisław Władarski*

* **Nauczyciel**, który skutkiem teraźniejszych stosunków dziękuje za urząd, poszukuje na tej drodze odpowiedniego stanowiska i prosi o łaskawe nadesłanie ofert pod znakiem K. P. 1880 do redakcyi „Pracy“.

* **Gdzieby** się mógł osiedlić *rzeźnik* Polak, doskonały w swym zawodzie i liczyć na pewną egzystencyą? Uprasza się o łaskawe nadesłanie ofert do ekspedycyi „Pracy“.

* **Baczność!** Do dzisiejszego numeru dołączamy *cennik zimowy wielkiego domu towarowego K. Ignatowicza w Poznaniu,* na który zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności.

* **Firma** *A. Modzelewicz* przy ulicy Wrocławskiej 31 (Zielona apteka) — właściciel p. *Wacław Brodziak* — poleca w ogłoszeniu *skład i pracownię bielizny damskiej, męzkiej, dziecięcej, stołowej, dywanów* i t. d. i t. d. Skład jest zaopatrzony obficie w dobre i rzetelne towary, które się nadają na *praktyczne podarki okolicznościowe* z powodu imienin, gwiazdki i t. d.

Przedsiębiorstwo powyższe polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności.

Od Redakcyi.

— *Panu Ad. Fierlejowi w Gerthe:* Naturalnie, że może wrócić . Musi jednakże udać się do katolickiego księdza i ten mu poda warunki. Dziękujemy za pamięć i pozdrawiamy serdecznie.

— *Panu L. T..... w Marten:* „Dortm. Ztg.“ odebraliśmy. Zużytkować nie możemy. Szkoda, że Szan. druh ze swej strony nie opisał nam, ile w doniesieniach tego pisma jest prawdy. To wiemy, że owo zebranie czy wiec został rozwiązany — ale nikt z obecnych do gazet nie doniósł: za co? A nuże dr. Zm. nie takie, ale podobne rzeczy gadał? — To wiemy, że nie liczy on się zbytnio ze słowami. Na zdaniu Sz. Druha chętniebyśmy się oparli, bo znamy jego rozwagę i spokój. Pozdrawiamy serdecznie.

— *Do Krotoszyna:* — Wiemy, że stósunki Wasze są opłakane. Na to jednak, że nieoporne dzieci — biją oporne brak nam słów. Korespondencyi nie umieszczamy dla braku podpisu. Jeżeli kiedy, to dziś wobec wielkiej powagi chwili *musimy* domagać się, ażeby korespondenci nasi nie taili wobec nas nazwiska.

— *Panu J. Tomczakowi, Wilmington-Del,* Półn. Ameryka. — Poseł Korfanty wydaje pismo, wychodzące 3 razy tygodniowo pod tytułem „Polak“. „Polak“ wychodzi w Katowicach (Kattowitz O/Schl. Teichstr. 8). Kosztuje kwartalnie 1 markę; — abonament z przesyłką kosztować będzie — 1 dolara. Niech się Pan dowie w samej redakcyi „Polaka“. Serdecznie Pana pozdrawiamy.

— *Pani M. G. w Bydg.* — Bardzo prosimy. Artykuły „co i jak czytać“ uważamy ze względów wychowawczych — za konieczne i dla tego pożądane. Pozdrawiamy uprzejmie.

Nekrologia.

† S. p. *Aleksander Jonatowski,* dnia 8-go b m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 29. Pogrzeb odbył się dnia 12-go b. m. w Grzywnie (Prusy Zachodnie). R i. p.

† Ś. p. *Zygmunt Rogalski,* dzierzawca Dachowa, dnia 7-go b. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się w Poznaniu, dnia 10-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Julian Gomolewski* dnia 8-go b. m. w Juńcewie, licząc lat 63. R. i. p.

† Ś. p. *Zygmunt Majer,* aptekarz dnia 10-go b. m w Sierakowie. Pogrzeb odbył się w Poznaniu, dnia 14-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Amalia Janowska,* dnia 12-go b. m. w Poznaniu. R i. p.

Rozmaitości.

— *Napad na pociąg pocztowy.* Po zuchwałych napadach na pociągi pocztowe w Celestynowie, pod Włochami, i na kolei Herby-Częstochowa w Królestwie Polskiem, nastąpił świeżo nowy, który zarówno śmiałością przedsięwzięcia, jako też rozmiarami rabunku, a zwłaszcza strat zadanych ochronie wojskowej, przeszedł znacznie wszystkie wyżej wymienione.

Napadu dokonano 8-go b. m. o godzinie 7-mej min. 30 wieczorem, na stacyi Rogów kolei warszawsko-wiedeńskiej w okolicznościach następujących:

Od Granicy biegł w kierunku Warszawy pociąg pocztowy nr. 10 w składzie następującym: Za lokomotywą szedł wagon klasy III., z ochroną wojskową, składającą się z 16 żołnierzy pułku zegrzskiego piechoty, dalej wagon pocztowy, a następnie kilka wagonow pasażerskich. Pociąg ten wyszedł z Koluszek ściśle według rozkładu i o godz. 7-mej m. 30 wieczór dochodził do stacyi Rogów. Zanim jeszcze pociąg zdołał się całkowicie zatrzymać, jakis młodzieniec, stojący na peronie, w pobliżu dzwonka stacyjnego, rzucił pod wagon z ochroną wojskową bombę. Rozległ się straszny huk i trzask, po chwili nastąpił drugi huk, równie silny, a następnie dała się słyszeć gęsta strzelanina. Po pierwszym wybuchu światło we wszystkich wagonach pasażerskich zagasło, wagony zaległy ciemności, pasażerowie w panicznym strachu zaczęli się kryć pod ławki wagonów, inni wyskakiwali z pociągu i uciekali w pole.

W tejże chwili rozległa się na peronie komenda w języku rosyjskim. Rozkazy wydawał jakiś barczysty, wysoki mężczyzna bandzie, składającej się z kilkudziesięciu ludzi, którzy, posłuszni rozkazom swego przywódcy, rzucili się do rabowania wagonu pocztowego, gdy inni równocześnie zaciągali warty przy wszystkich wyjściach, w bufecie i w kancelaryi zawiadowcy stacyi, pilnując z rewolwerami w ręku, ażeby nikt nie mógł bądź telegrafować, bądź w jakikolwiek inny sposób alarmować sąsiednie stacye.

Napastnicy uzbrojeni byli w karabinki mauserowskie i w rewolwery. Przed wtargnięciem do wagonu pocztowego dali w kierunku wagonów kilkadziesiąt strzałów. W wagonie było trzech ludzi: starszy urzędnik pocztowy, Leon Leontiew, młodszy urzędnik, Leon Kurylenko, i pocztylion, Grzegorz Łyczkowski. Ogłuszeni i poparzeni wybuchem bomby, byli niezdolni do stawiania jakiegokolwiek oporu. Obezwładniona też została zupełnie ochrona wojskowa. Straszna siła wybuchu wysadziła pudło wagonu, które legło na plancie strzaskane, wraz z okropnie poranionemi żołnierzami. Ci, którzy szczęśliwie ocaleli, ogłuszeni uciekali w przerażeniu w pole.

Napastnicy gospodarowali w wagonie pocztowym jakieś 15 do 20 minut, poczem dał się słyszeć sygnał trąbki na odwrót. Napastnicy zaczęli się formować w dwójki, podnieśli do gory chorągiew czerwoną, przedefilowali tak przez peron i podążyli do podjazdu na stacyi, gdzie usadowili się w ekwipażach prywatnych, oczekujących na stacyi, w bryczkach, powozach i furmankach, zmuszając wozniców do opuszczania kozłów.

Po jakimś czasie wszystkie ustawione na stacyi warty zostały ściągnięte, napastnicy znikli w otaczających stacyę lasach. Ciszę przerywały tylko jęki ranionych, służba stacyjna zajęła się ich ratunkiem.

Z 16 żołnierzy pułku zagrzskiego podjęto i umieszczono w pociągu 8; wszyscy są silnie poparzeni i pokaleczeni.

Zabity został jeden żołnierz, oraz żandarm, uderzony odłamkiem strzaskanego dachu wagonu w chwili wybuchu. Ranionych przywieziono do Warszawy dnia 9. o godzinie 2. w nocy i umieszczono w szpitalu ujazdowskim.

Nazajutrz o godz. 10. rano, pociągiem kolei łódzkiej przywieziono drugą partyę poszkodowanych żołnierzy ochrony w liczbie 6. Tych poznajdywano w różnych miejscach w okolicy stacyi. Z tej liczby trzech jest bardzo ciężko poparzonych, trzech zaś wyszło względnie cało. Odszukano ich w znacznej odległości od stacyi.

Z urzędników pocztowych najbardziej poszkodowany został Kurylenko, który, oprócz poparzenia, otrzymał kilka postrzałów. Pocztylion Łyczkowski raniony jest lekko. Z pasażerów nikt żadnego szwanku nie poniósł.

Suma zrabowanych pieniędzy nie jest jeszcze ostatecznie ustalona. Podawane przez pisma poranne wiadomości o milionowych stratach, jakie ponieść miał skarb z tytułu tego rabunku, są w każdym razie mocno przesadzone. „Warszawski Dniewnik“ nadmienia, że w pociągu przewożono bardzo znaczną sumę dochodów z komory granicznej, o czem widocznie organizatorzy napadu byli dokładnie poinformowani.

Do Rogowa wyprawiono wczoraj jeszcze oddział Kozaków, z poleceniem tropienia uczestników napadu. Według opowiadań służby stacyjnej gromadzili się oni na stacyi od całego rana, nadciągając pociągami z jednej i drugiej strony, a także i furmankami od strony Łodzi. W sali pasażerskiej przed nadejściem pociągu tylko część się zgromadziła, inni zajęli nieznacznie posterunki w różnych miejscach stacyi po jednej i po drugiej stronie plantu.

Ogółem było napastników około 60. przeważnie młodziki 16- i 18-letnie. Banda okazywała sprawność niezwykłą w wykonywaniu rozkazów swego dowódzcy, wydawanych czystą ruszczyzną.

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

29 Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Słowa te powtarzają się, jakiemś złowrogiem echem odbijają się od ścian grobowych, drżą przez chwilę przejmująco w mgle nocnej i nikną.

Car Aleksander zwiesił zasępione czoło i wstrząsnął się, bo mu się zdaje, że u góry, u grobowego sufitu straszne groźne dyszy oblicze króla „filozofa", a z rozwartych jego ust szumi jakby szyderskie błogosławieństwo:

— Dobroduszny Słowianinie, dzięki ci, przyszedłeś tu po to, aby naszemu krzyżackiemu potomstwu, które ma panować nad światem, zapewnić posiadanie ziem polskich i wybrzeży bałtyckich...

Wychodzącemu z grobowca Aleksandrowi przemknęła przez bujny umysł myśl pełna nie ulgi lecz wątpliwości:

— Ach, czy też Prusy dotrzymają już przysięgi takiej?...

Wtem Napoleon zaczął znów wsławiać się świetnemi zwycięstwy: armię austryacką pod dowództwem Macka wziął do niewoli pod Ulmem nad Dunajem w Wirtembergii (r. 1805), armię rosyjską i austryacką zbił na głowę pod Austerlitz (Sławkowem w Morawii) [1]), dnia 2 grudnia 1805 r. cesarza austryackiego Franciszka zmusił do zawarcia pokoju w Pressburgu [2]), wojska rosyjskie pod jego naciskiem szybko cofać się musiały na wschód.

Zgnębiony car Aleksander, nie czekając końca układów, opuścił wojsko, przy którem teraz bawił i na Kraków i Lublin pospieszał dniem i nocą do Petersburga.[3] A gdy mu wkrótce doniesiono o wypadkach, szepnął z goryczą:

— Fryderyk Wilhelm III już złamał przysięgę, już porozumiewa się z Napoleonem i przymila mu się...

Byłby się może pocieszył, gdyby mu jaka wróżka była zaraz przepowiedziała:

— Nie trap się carze, wiarołomne Prusy i ten nowy traktat złamią, ale za karę od Napoleona straszne cięgi dostaną, a król pruski jeszcze prędzej od ciebie będzie uciekał z Berlina...

Wobec tych wymienionych zdarzeń i zmian Adam ks. Czartoryski, widząc zniweczone przez „nieszczęsny" traktat poczdamski swe plany co do Polski i czując się słusznie urażonym na Aleksandra, wziął teraz dymisyę z ministerstwa spraw zagranicznych (w r. 1806), a zatrzymał sobie tylko urząd kuratora szkół polskich[4]).

b. Traktat w Tylży roku 1807.

Znane państwo, ufundowane na cmentarzach słowiańskich, państwo, rosnące krzywdą i uciemiężeniem sąsiadów,

[1]) Właściwie pod wsią Pracą odniesione zostało przez Napoleona pamiętne to zwycięstwo nad sprzymierzoną armią austryacko-rosyjską, dowodzoną przez Kutuzowa, przy której osobiście znajdował się ces. Aleksander I i Franciszek II. — Encykl. Orgelbr.

[2]) Pokój Presburski (26 grudn. 1805 r.) zmienił konstytucyę Niemiec. Z wybieralnego cesarza został Franciszek II dziedzicznym cesarzem austryackim, z elektorów rzeszy niemieckiej utworzyli się królowie, wkrótce potem (12 lipca 1807 r.) 16 książąt niemieckich zawiązało konfederacyę reńską, a Napoleon został jej protektorem, jakby cesarzem Niemiec. Starszych swych braci osadził już dawniej: Ludwika na tronie holenderskim (w maju), Józefa na tronie Burbonów w Neapolu; Murat, ożeniony z jego siostrą, otrzymał księstwo Bergu i Juliaku. Zdaje się, iż były wtedy jakieś mowy o przywróceniu Polski, których ze strachem słuchały Prusy, zdradzające od lat tylu swych sprzymierzeńców. — Morawski, VI, 57.

[3]) Tak bardzo się spieszył, że dopiero w Międzyrzeczu na Podlasiu odmienił bieliznę, którą mu ofiarował Konstanty ks. Czartoryski.—Morawski, VI, 56.

[4]) Sokołowski, IV, 1317; Lewicki, 383; Limanowski, 49.

Czerwony znak.

10) Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

(Ciąg dalszy).

Uderzające podobieństwo rysów twarzy Stelli i dziewczynki, jakie zwróciło na siebie uwagę nietylko Hamiltona, lecz i małej baronówny i jej matki, nie wystarczało jeszcze aby przypuszczać, że Alfonso Caradini i Henryk Poiton są jedną i tą samą osobą. Ale podobieństwo pierścionków w połączeniu z innemi warunkami potwierdziło tę możliwość.

Nie można było tego nazwać przypadkiem. Toż ten był, jak Hamilton wiedział, ptakiem wędrownym, zmieniającym ciągle miejsce pobytu i członkiem tajnego stowarzyszenia, można więcby to przypuszczać, że w rozmaitych miastach przybierał rozmaite nazwiska i to w rozmaitych celach. Był on artystą, rzeźbiarzem, a rzeźbiarze wszelkich narodowości tworzą ostatecznie małą tylką gminę. Poiton znał bliżej Stellę i gorąca namiętność, jaką uczuwał dla jej pięknej dziewczyny wbiła mu w pamięć rysy jej twarzy. Do tego dołączało się jeszcze i to, że niegdyś modelował jej rękę i widział na palcu jej ów niezwykły pierścionek. A dzieło Caradiniego nosiło i rysy twarzy Stelli, i rękę jej i pierścionek! Jedynym więc możliwym rezultatem była tutaj tożsamość Caradiniego i Henryka Poiton.

Chociaż dowody, że Poiton mógł także być panem Feliksem, nie były tak jasne i pewne, to jednak i to prawdopodobieństwo miało pewną podstawę i Hamilton trzymał jej się z całym swoim wrodzonym uporem. Że Poiton i nieszczęśliwy Alfredo Garcia należeli do tego samego stowarzyszenia, to potwierdzały owe znaki, tatuowane na ramionach. Że Garcia i pan Feliks byli członkami tego samego związku wynika ztąd, że obydwaj byli w ten sam sposób wzywani na tajne zebrania. Poiton — Feliks był łącznikiem pomiędzy wykonawcami zbrodni a ich ofiarą. Zachowanie się pana Feliksa zgadzało się też z przypuszczeniem, że on głównym był przeciwnikiem Garcyi, i że starał mu się szkodzić, tak w Paryżu jak w Londynie. Mieszkanie swoje w Londynie opuścił kilka dni przed odkryciem fabryki bomb dynamitowych w Paryżu i kilka dni przed pełnionem morderstwem wrócił do Londynu.

Nie było więc wcale niemożliwem, że Henryk Poiton, Alfonso Caradini i pan Feliks jedną byli osobą.

Że jednak chwilowo osoba pana Feliksa najmniejszą w tej sprawie odgrywała rolę, i że o Henryka Pointon także obecnie tyle nie chodziło, przeto Hamilton, chcąc na nowo odszukać ślady morderców Alfreda Garcyi, musiał się przedewszystkiem starać o wynalezienie rzeźbiarza Caradiniego.

Macropulo sam wskazał mu, zupełnie mimowoli sposób poszukiwania artysty. Ułatwiało mu to znacznie zadanie. Imię Alfonsa Caradiniego miało już jakąś sławę — był to artysta przyszłości, jak się Grek wyraził, wielki talent, geniusz! Otrzymywał dużo zamówień z Londynu i przebywał tu często. Znalezienie tego człowieka, który tak się odznaczał jako artysta, nie musiało być tak trudnem!

Podług listu Alfreda Garcyi, członkowie tajnego stowarzyszenia nie znali się wcale nawzajem, ani z nazwiska, ani z zawodu, ani osobiście. Nie mogli się zatem poznać, gdy się spotykali w świecie przypadkiem. Ta zasada była podstawą całej organizacyi. Co do Macropula, to zdawał się istnieć wyjątek, zapewne dla tego, że obcowanie z sobą członków wymagało jakiego pośrednika. Zebrania odbywały się w jego mieszkaniu, i on jedyny z sprzysiężonych

t. j. Prusy, dosięgła wreszcie nemezys dziejowa w postaci potężnego a mściwego Napoleona. Nie szczędził on najmniejszego upokorzenia Hohenzollernom króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. nazywał wprost swoim „prefektem berlińskim“ i okazywał mu wielką wzgardę. Ale, strasząc i wytrzymując posła pruskiego Haugwitza, dał się wreszcie uprosić do zawarcia pokoju z Prusami w Schönbrunie, który to pokój miał być potem obostrzony w Paryżu dnia 15-go lutego roku 1806. A traktat ten cały, to zemsta nadzwyczaj biegle obmyślana przez Napoleona. Oto jego treść:

Król pruski: odstąpi Napoleonowi część księstwa kliwijskiego, Anspach i Neufchatel;

zamknie ujścia rzek swoich Anglikom;

gwarantuje wspólnie z Francyą całość posiadłości tureckich;

za swoje ustępstwa otrzymuje Harower.

Czyli, że zabranie przez Prusy Hanoweru i zamknięcie ujść rzecznych dla statków angielskich narażało Prusy na wojnę z Angilą; zagwarantowanie całości Turcyi, wymierzone przeciw Turcyi, rozrywało przyjaźń Rosyi z Prusami.

Tyle upokorzeń i zniewag, nawet w przytępionym nieco umyśle króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III., wywołało gniew i żywą chęć odwetu.

— Jakto? — wołał wielce wzburzony — Prusy tak odosobnione, ze swymi sprzymierzeńcami porożnione, mają być w północnych Niemczech tylko prefekturą tego uzurpatora korsykańskiego?

I dodawał z żalem i zazdrością:

A tam na południu książęta bawarski i wirtemberski z jego łaski otrzymali tytuły królewskie, a teraz korzą się i prześcigują w czołobitności dla niego!

Więc, targując się z Napoleonem o złagodzenie zbyt twardych warunków traktatu, wysłał równocześnie do Petersburga księcia brunświckiego, który miał przebłagać cara Aleksandra za wiarołomstwo, a potem zawrzeć z nim nowe przymierze przeciwko Francyi.

— Nie! — zawołał Aleksander — jestem bardzo zagniewany za zerwanie przymierza tak uroczyście zaprzysiężonego na grobie Wielkiego Fryderyka i łaczenie się z Napoleonem!

Lecz gniew ten trwał niedługo, Aleksander dał się łatwo przekonać i jeszcze przed potwierdzeniem traktatu paryskiego z Francyą ułożona została czwarta koalicya przeciwko Napoleonowi, której podstawą było jaknajściślejsze porozumienie się Prus z Rosyą.

I teraz tenże król pruski myślał sobie nie bez pewnej otuchy i nadziei:

— Dobroduszny a tak Prusom wierny Aleksander znów mi uwierzył, przymierze gotowe, czujny Napoleon uśpiony, bom z nim zawarł traktat, nawet jeszcze nie potwierdzony, a więc możemy się swobodnie uzbrajać i wykończać układy traktatowe...

W kwietniu r. 1806 zanosiło się już na nową wojnę, od której daremnie odwodził cara Aleksandra książę Adam Czartoryski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

nie potrzebował nosić maski na twarzy. Sądząc z tego wszystkiego zdawał się Macropulo zajmować stanowisko agenta organizacyi całego stowarzyszenia i być tym, który machinę w ruch wprowadzał.

Zgadzało to się także z opowiadaniem Cevanciego, który członka koła zewnętrznego, uważającego Macropula za agenta pośredniczącego pomiędzy rozmaitemi częściami rozmaitych z sobą zbratanych towarzystw. Agent organizacyi wydawał w pewnych odstępach czasu wszystkim członkom rozkaz zgromadzenia się i wydawał parol, czyli oznaczał słowo za wymienieniem którego otwierano im drzwi. Dla każdego członka był osobny posłaniec: posłaniec ten rozpoznawał dom, którego numeru nie widział, po oznaczonym znaku. Sprzysiężeni chodzili na zebrania w maskach na twarzy, lecz żaden z tych środków ostrożności nie byłby był potrzebnym, gdyby Macropulo zajmował wyższe stanowisko i gdyby był znał wszystkich sprzysiężonych. W ten sposób nie składał żaden z członków, ani swego nazwiska, ani życia, ani wolności w ręce agenta organizacyjnego lub innego członka „tajnej rady“. Był to idealny stan bezpieczeństwa — tak go w zapale nazwał Alfredo Garcia.

Można było naturalnie przypuszczać, że Macropulo, handlarz figur marmurowych znał dobrze Caradiniego, artystę-rzeźbiarza, lecz nie było prawdopodobnem, aby Macropulo, agent tajnego stowarzyszenia znał pana Feliksa, spiskowca, i dopóki by się pan Feliks, lub Caradini, lub Henryk Poiton nie zdradził sam, dopóty nie było możliwem odkryć śladów tego człowieka.

Hamilton szedł owej niedzieli po obiedzie z St John przez park do domu i rozważał sobie to wszystko jak najdokładniej.

— Mój Boże, — szepnął, zatrzymując się nawet na chwilę, — czy już kiedykolwiek była na świecie tak zawikłana sprawa. Jedna zagadka przy drugiej! Nie wiem, czy mózg jakiego człowieka znajdował się w takiem zamieszaniu, jak moje? Tajemnice, zawikłania, zagadki — i nie mam nikogo, komu bym mógł powierzyć wszystkie te kłopoty, lub kogobym mógł prosić o radę!

A jednak mylił się, istniała bowiem istota, której mógł powierzyć wszystko i którą mógł prosić o radę! Stella Garcia miała o wiele ważniejsze powody niż on, do rozpoznania tajemnicy, otaczającej śmierć jej ojca. Teraz, gdy złoczyńcy obawiali się możności odkrycia ich zbrodni, groziło jej zupełnie to samo niebezpieczeństwo, jak życiu Hamiltona albo Cevanciego. Poiton — Caradini — Feliks czekał zapewne tylko na stosowną chwilę, na zapomnienie całej tej sprawy, aby Stellę na nowo zacząć prześladować swoją miłością, pomimo bowiem, że młoda dziewczyna z nietajonym wstrętem odrzucała jego starania się o jej rękę, przysiągł uroczyście, że nie spocznie dopóty, dopóki ona nie zostanie jego żoną.

A biorąc na uwagę jego namiętny i niebezpieczny charakter, nie można było nigdy wiedzieć, jakich środków się chwyci, aby cel swój osiągnąć. Jedyne bezpieczeństwo dla Stelli polegało na tem, aby ubezwładnić tego człowieka. Przeznaczenie zdawało się stawiać Hamiltonowi i Stelli to samo zadanie, a Hamilton postanowił sobie rozwiązać je wspólnie z Stellą, służyć jej radą i czynem, układać z nią wszelkie plany, rozważać nad każdym ważniejszym krokiem i ostatecznie dojść z nią razem do celu!

W niedzielę po obiedzie mógł odwiedzić Stellę, ani baron ani jego żona nie mogli mieć nic przeciw temu. Wiedzieli oni po części o co chodziło i oboje zajmowali się gorąco tą sprawą. Zwrócił się więc ku ich domowi, a uprzejme przyjęcie, jakiego tu doznał, było dostatecznym dowodem, jak miłym i pożądanym był gościem.

Stella była obecną, gdy Hamilton, naturalnie pod ścisłą dyskrecyą, opowiadał baronowi przygody ostatniej no-

Pieniądze sierot.

Nie ma zaprawdę większej krzywdy nad zabranie choćby grosza jednego sierotom, albo wdowom. A są ludzie, którzy potrafią to zrobić. Nieraz ten lub ów, niby opiekun tak zarządza dobrem sierot, że sobie weźmie nie mało, a sierotom prawie nic nie zostawi.

W Polsce, sierot pieniądze były naruszane.

Oto malutki obrazek.

Było to w r. 1809, w tym czasie, kiedy jeszcze raz próbowali Polacy zdobyć wolność w narodzie.

Wtedy wojskiem polskiem dowodził książę Józef Poniatowski.

Stał on z wojskiem swojem w Krakowie i czekał na dalsze rozkazy cesarza francuskiego Napoleona.

Przyszedł wtedy do księcia Józefa jeden z panów polskich i pyta:

— Dlaczego ten smutek?

— Mam 30 kilka tysięcy wojska, odrzeknie książę Poniatowski, a brak mi pieniędzy na utrzymanie. Co robić? Skąd wezmę pieniędzy niewiem sam, a potrzeba nagła i pilna. Kraj zbierze, kraj złoży, ufam i spodziewam się, ale to pójdzie powoli, a wojsku potrzeba mundurów — żywności.

— Ja ci zaraz poradzę co czynić, rzecze ów pan. Są pieniądze sierot w sądzie, w depozycie złożone. Pożycz je z sądu, wydaj kwit, a kiedy kraj złoży, wtedy oddasz i wszystko załatwione.

— A czyje to pieniądze?

— Sierot, wdów, złożone są aż do czasu pełnoletności, albo do innych terminów.

Książę Józef wstał szybko, zbliżył się do przyjaciela i pyta:

— I ty mnie do tego namawiasz?

— Ja, alboż czynię co złego?

— Ty! mój przyjaciel radzisz mi wziąć pieniądze sierot, a czy nie wiesz że to krzywda?

— Ależ kraj odda, ależ bierzesz nie na swoje potrzeby, ależ to nie na zabawkę ani hulatyki.

— Wszystko jedno na co, sierocego grosza nie wolno ruszać, tak mnie uczyli zawsze i tak mi mówi sumienie.

— Ależ oddasz...

— A czy jestem pewny co się stać ze mną może jutro, czy wiem jakie mogą przyjść niespodziewanie zdarzenia i potem kto sierotom zwróci i potem sieroty płakać będą?

I nie wziął pieniędzy.

Dopiero Badeni, Wodzicki i książę Lubomirski za hipoteką na swój majątek te pieniądze pożyczyli i istotnie z własnego majątku oddali.

Tak to w owych czasach szlachetni ludzie szanowali grosz wdowy i sieroty...

A dziś?... *Jadwiga z Z. S.*

Jesienne liście.

Mają w sobie wiele piękna i barw, a jednak pełne są smutku.

Stroją długie aleje barwami palących tonów, ozłacają szczyty wysokich drzew, sypią się jak ziarna na ziemię naszą, a jednak nikt się niemi nie cieszy.

Z wiosną, pierwszy pączek wierzbowej bazi, choć blady i bezbarwny, o wiele więcej sprawia uciechy i radości od tej fali liści jesiennych, które sypią się w koło i piękne są w barwach.

Na widok najpierwszych pędów trawy przydrożnej, przebijającej się z poza resztek śniegu, budzi się nadzieja w sercu każdego, i z weselem wołamy: — już wiosna!

A gdy jesień pocznie strącać złote liście drzew, z bolem powtarzamy: — już jesień!

---

cy, o poszukiwaniach podjętych w domu Macropula, o ucieczce sprzysiężonych, o odkryciu podziemnego ganka, o wybuchu i ogniu i o spaleniu się całego składu. O pożarze tym czytał baron Ravendale w gazetach i gdy ujrzał nazwisko Macropula jako właściciela składu, w którym ogień powstał, domyślił się, że sprawozdanie w gazecie nie było dokładne i nie zawierało całej prawdy. A chociaż oczekiwał jakiej wiadomości od Hamiltona, to jednak to, co teraz od niego usłyszał przeraziło go niezmiernie.

Hamilton zaś opowiadał tylko to, co uważał za stosowne, o swoich własnych zamiarach i nadziejach nie wspomniał ani słowa, nazwiska Caradiniego nie wymienił także ani razu.

Ponieważ ani baron ani baronowa nie znali języka włoskiego, rozmawiał z nimi po angielsku. Stella przysłuchiwała się wprawdzie rozmowie, ale oprócz kilku słów i ruchów, jakie opowiadaniu jego towarzyszyły, nie rozumiała zgoła nic. Prosił więc barona o pozwolenie powtórzenia jej wszystkiego po włosku i podczas kiedy jej dosłownie rozmowę swoją poprzednią przetłumaczył, zabrał się baron do cygara i gazety, a baronowa zajęła się sama przygotowaniem do herbaty.

Hamilton był tym sposobem sam na sam z Stellą.

— Mam pani jeszcze coś do powiedzenia, — rzekł w końcu. — Musimy koniecznie dowiedzieć się jutro, gdzie obecnie przebywa rzeźbiarz Caradini. Jestem bowiem więcej niż kiedykolwiek przekonany, że Caradini, Poiton i pan Feliks są jedną i tą samą osobą!

— Ja także już o tem myślałam, — odpowiedziała Stella, — i podzielam zupełnie zdanie pana.

I mimowoli spojrzała na swój pierścionek.

— Pan Feliks znajdował się jeszcze wczorajszej nocy w Londynie, jeden z detektiwów bowiem szedł za nim od jego mieszkania aż do domu Macropula. Ale stamtąd już nie wrócił do swego mieszkania i jestem pewny, że po wypadkach ostatniej nocy i po otrzymaniu ostrzeżenia przedemną, już on sąsiadem moim nadal nie będzie. Może jednak znajdziemy go gdzieindziej jako pana Caradiniego!

— To jest, jeżeli sprzysiężeni nie uciekli wszyscy razem z Londynu.

— Myślę, że nie. Macropulo i tak zwany „Anioł“ znają zanadto dobrze metodę policyi, aby się odważyć teraz na jaką podróż z miasta portowego. Siedzą oni ukryci w Londynie — w mieście, liczącem tyle mieszkańców jak Londyn, są bezpieczniejsi, niż gdziekolwiekbądź. Pan Feliks zresztą nie ma żadnego naglącego powodu do szybkiej ucieczki. Jeżeli jest rzeczywiście Caradinim, to ma tutaj dużo zajęcia, jak mi Macropulo powiadał. Aby zmylić zupełnie poszukiwania policyi, potrzebuje się zamienić z spiskowca w rzeźbiarza. Zamiana ról, nic więcej. Tylko pani i ja mamy ślad jego w ręku i obowiązek nasz i bezpieczeństwo życia wymaga, abyśmy nie ustawali ani na chwilę w poszukiwaniach.

— Ja jestem gotową na wszystko, — zawołała Stella w uniesieniu. — Przysięgam pomścić śmierć mego ojca!

— Są jeszcze wyższe cele niż zemsta, — odpowiedział Hamilton poważnie.

— Może być, — szepnęła. — Nazwij pan to sprawiedliwością, obowiązkiem względem ludzkości, czem chcesz, w końcu na jedno wychodzi. Więc co mam teraz robić?

— Ułożyłem już sobie plan — ale może pani masz lepszy....

— Nie, chciałabym najpierw słyszeć, jak pan zamierzasz postępować w przyszłości.

— A zatem słuchaj pani: na Regentstreet z najduje się pewna znaczna i znana firma — nazwiska właściciela

Tak bywa zawsze, każdego roku.

Zawsze ogarnia nas tęsknota niezmiernie tkliwa, zawsze odczuwamy jakby ból cichy, na myśl, iż drzewa wkrótce zostaną nagie, pola puste i nie nam minionej wiosny nie wróci.

Nie idzie nam więc o szatę drzew, która opada, aby w nowej szacie na wiosnę wystąpić, nie, nam nie idzie o tę pustkę bezbarwną i ciszę głuchą wśród pól i gajów, jaka się wkrótce rozłoży dokoła, ale nam żal minionego czasu kawału życia, które uszło, a wziąwszy wiele — tak mało w zamian dało.

Każdemu z nas, ów szelest pożółkłych liści opadających drzew przypomina niejedno w życiu naszem zagasłe, opadłe i minione. Każdemu ów oddech smutnej jesieni wlewa w duszę cząstkę melancholii i tęsknoty za tem, co mija i nigdy nie wraca.

Bo jesienne liście są datą przeszłości.

Rozwijały się one z pęków drobnych, kąpały w słońcu, deszczem się myły, rosę piły i — już dla nich wszystko skończone, giną teraz.

Giną w rozwianiu, podeptaniu, w bezsile biernej, kędy ich wiatr poniesie, kędy ich szata przechodniów zarzuci, kędy ich prawo bezwładności położy.

Więc czemuż do tej martwoty i zaniku stroją się te liście jesienne w purpurę i złoto? Czemu do życia wiosny i lata pięknego budzą się w monotonnej barwie zieleni, a na nędzne opadanie ku ziemi, na ścielenie się pod stopy przechodniów, na błędne rozwianie po pustych polach, złocą się i barwią tęczami?

Czy i nasze złudy, marzenia i zapały, które szron życia zwiewa z młodych planów i programów, tak samo złocą się wtedy, kiedy już zginąć mają?

Są dusze, które nigdy jak bezlistne drzewa, nie przerażają smutkiem i pustką, nie rozwiewaja swych wrażeń i uczuć, jak drzewa płonące jesiennymi liśćmi. Sto szronów przyjdzie i życie, jak jesienne niebo, nie da im ani słońca, ani nadziei, ani ciepła, a jednak nie dając szczęścia nie zuboży i nie obedrze tak, ażeby nagością przerażać mogły.

Lecz takich mało.

Niestety! Ogromne szeregi są tych, którym pierwszy powiew jesieni obrazy życia zgasił i zostawił tylko nagie szkielety, jak upiorów kości.

Nędzarze duchowi! Im wieczna jesień w około i wszystko dla nich rozwiane po pustych polach, po ścieżynkach błędnych, po błotnych drogach.

Jesienne liście, to hasła zgonu.

A i w narodzie duchy odarte z szat nadziei i życia — są zwiastunami śmierci moralnej.

Idźmyż od nich jak najdalej i brońmy się, byśmy ich pustką i nagością nie zostali zarażeni.

Sypie się deszcz złoty. Lecą liście w dal, rozściela swą szatę pustka nad polami i lasami, a ludzie liczą, ile to razy jesień ich witała i ile razy żegnała ich długim deszczem jesiennych mgieł, mroków i szronów.

Przeszłość!

A na progu jej stoi zawsze przyszłość. Jak na złoconym brzeżku karty księgi, którą czytamy z zajęciem, poczyna się nowej karty strona, tak na deszczu złoconych liści jesieni, poczyna się nowa chwila nadziei — o wiośnie.

Wtedy melancholji szepty milkną. Kto na przeszłości brzegu szuka przyszłości zarania, ten zwątpieniem się nie struje, a w życiu narodu o to najwięcej trzeba bać się, by zwątpienie nas nie łamało.

Więc niech jesień idzie, niech się liście złote i purpurowe ścielą.

„Do tych należy jutrzejszy dzień,
„Co nowych łakną zdobyczy!
„Kto się usuwa w ciszę i cień,
„Ten się do żywych — nie liczy.“

Iskra.

---

nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, ale znajdziemy je — która przyjmuje polecenia na prace rzeźbiarskie wszelkiego rodzaju i podejmuje się wykonania ich, naprzykład odnowienia kościoła, renowacyi schodów marmurowych, ozdoby w grobowcach, odświeżania kominków marmurowych w pałacach i tem podobne rzeczy!

— To są Neapolitańczycy, — zawołała Stella żywo. — Mój ojciec opowiadał mi o nich. Mają oni taki sam interes w Paryżu.

— Tak jest, firma, którą mam na myśli, jest włoska. Pójdziemy do tych ludzi. Może w książkach ich znajdziemy nazwisko Caradiniego. Każdy młody rzeźbiarz, przybywający do Londynu, udaje się bezwątpienia najpierw do takiej firmy, jeżeli chce otrzymać jakie polecenie.

— Masz pan słuszność. Może Caradini pracuje dla nich, albo może będą mogli dać nam jego adres.

— Myślałem zupełnie to samo! Więc jeżeli się pani nie lękasz, jeżeli zostajesz przy swych zamiarach....

— Ja, lękać się? — szepnęła Stella namiętnie, — i cofać się z połowy drogi? Nigdy! Nigdy!

— Wiedziałem o tem. Więc jeżeli pani nie zmieniasz postanowienia działania wspólnie ze mną, to poszukamy owego Caradiniego, aby się dowiedzieć, czy on jest i Henrykiem Poiton i panem Feliksem. Poproszę baronową, aby pozwoliła pani wyjść jutro — pójdziemy razem na Regent-street. A potem pójdę ja tam, gdzie można znaleźć Caradiniego!

— Sam? — szepnęła Stella drżącym głosem.

— Naturalnie, że sam! Tak być musi! Wiem o czem myślisz teraz Stello — myślisz, że w danym razie grozi mi niebezpieczeństwo....

Po raz pierwszy w życiu nazwał ją po imieniu i uczynił to zupełnie bezwiednie. Stella zarumieniła się.

— Wiem o tem napewno, — rzekła. Zadanie, jakie pan sobie stawiasz połączone jest z największem niebezpieczeństwem.

— Chociażby i tak było! Nie lękam się niczego. Pani sama będziesz wiedziała, dokąd idę i kogo chcę spotkać. Gdybym potrzebował pomocy, pani mi ją przyślesz, nieprawdaż?

— Ale gdyby panu nie pozwolono uwiadomić mnie o tem, że potrzebujesz pomocy? — zawołała, a w głosie jej brzmiała wielka trwoga.

— Tak, musimy to wszystko dokładnie rozważyć, — odrzekł z uśmiechem wdzięczności. — Więc gdyby minęło dwadzieścia i cztery godzin, a ja nie dałbym wiadomości o sobie, ani listem, ani kartą, ani depeszą, w takim razie możesz pani być pewną, że znajduję się w niebezpieczeństwie życia.

Stella spojrzała na niego i jej wielkie czarne oczy napełniły się łzami.

— A potem.... — szepnęła.

— Potem przyślesz mi pani kogo na pomoc!

— Herbata gotowa, — zawołała w tejże chwili baronowa wesoło.

Gdy Hamilton podawał Stelli filiżankę herbaty, zauważył, że jej ręce drżały tak, że ledwie filiżankę utrzymać mogła. A pochylając się nagle ku niemu, rzekła cicho lecz stanowczo:

— Ja pana ocalę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z bieżącej chwili.

Biskup-Sufragan lwowski, ks. Dr. Władysław Bandurski.

(Korespondencya własna „Pracy")

Kraków, 12 listopada.

Nowo mianowany biskup, ks. Władysław Bandurski, pozostawia w Krakowie wrażenie blasku słonecznego, po którym i ciemniej i smutniej robi się w sercu. Kto go znał, widział, słyszał, ten wie czem było każde słowo Jego, czem Jego dobroć, uprzejmość, pokora, a nad to wszystko gorące, promieniejące w około uczucie miłości Ojczyzny, od którego rozpalały się rzesze i budziły się dusze.

Nie było rocznicy narodowej, w której by on do zebranych słuchaczy nie wołał, słowy kapłana natchnionego: Dźwigajcie się!... Podnoście się!... bo żyć wam i Ojczyźnie w dawnej sławie i dawnej służbie Bożej!

Na kazania tego wielkiego mówcy spieszyły tłumy, a wszyscy słuchali i z łzą pokory i z ogniem nadziei, bo też On zawsze wskazując na winy i wady współczesne, krzepił ducha nadzieją i wiarą niezłomną, iż zwyciężyć i siebie i wrogów zdołamy. Toż teraz Kraków z łzą w oku myśli o chwili, w której mu przyjdzie pożegnać czcigodnego kapłana, nauczyciela narodowego.

Nie rychło uciszy się żal i smutek, gdy zbraknie na Wawelu tego, który chciał z prochu przeszłość budzić, który też wołał do narodu:

„Zbudźmy Jadwigę!"

Nie rychło zapomną o Nim te rzesze biednych sierot i wdów, które On obdarowywał, ten przytułek Żurawskiej, którym On się opiekował, te szeregi ubokich studentów, których on ubierał — żywił i tulił w swojem mieszkaniu...

Nie rychło zapomną o nim stowarzyszenia rękodzielników, które on wspierał i pouczał swojemi przemowami.



Ks. Władysław Bandurski, nowomianowany biskup sufragan-lwowski.

Bo było to serce, jakich się nie spotyka. Serce, które umiało żyć dla drugich, o sobie nie pamiętając.

Lwów szczęśliwy, iż mieć będzie nowego Skargę w swoich murach. Kraków szczęśliwy, iż chociaż wspominać może o tych chwilach wzniosłych, które przeżywał pod kierownictwem wzniosłych nauk.

Ks. Biskup Bandurski pochodzi z Kamionki Strzemiłowej. Odznaczał się już w dzieciństwie wielkiemi zdolnościami. Zaraz po przyjęciu godności kapłańskiej oddał się całem sercem pracy nad ludem i wszędzie zyskiwał najszczerszą miłość i cześć głęboką. W Rzymie przepędził lat parę. Doktoryzował się i potem u J. E. Kardynała Puzyny pełnił pracę kapelana i kanclerza.

Wyniesiony teraz na godność Biskupa-Sufragana przyjmuje to stanowisko jako obowiązek przeznaczony mu do wypełnienia w trudnych warunkach. Lecz kto zna wielką duszę tego kapłana ten wie, iż dyecezya lwowska rozjaśnieje i rozgrzeje się pod wpływem wymowy płomiennej i przykładu iście apostolskiego tego Czcigodnego Sługi Bożego...

Tylko Kraków smutny i cichy zostanie jak po błysku jasnym. Lecz żegnając z łzami ukochanego kanclerza — spodziewa się, że rozstanie to nie będzie trwałem, bo Ks. Biskup Bandurski pamiętać o Krakowie będzie i sercem może przy grobie Jadwigi zostanie.

z-z-z-



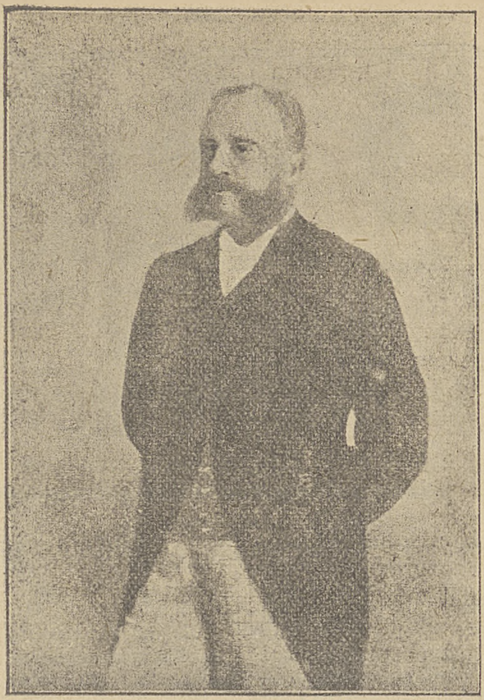
Ustąpienie hr. Gołuchowskiego.

Ofiarą walki, toczącej bezustannie system dualistyczny monarchii Habsburgów, padł Agenor hr. Gołuchowski. Wszechwładny na Węgrzech Kossuth zażądał jego dymisyi i sędziwy Franciszek Józef, przedewszystkiem dbały o spokój własny, poświęcił po krótkiem wahaniu tego, którego uważał za jednego ze swych najwierniejszych doradców. Hr. Gołuchowski ustąpił ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, które zajmował przez 11 lat, nie w skutek jakichkolwiek błędów lub niepowodzeń swej polityki. Ustąpił, bo tak się podobało Węgrom, a raczej węgierskiemu stronnictwu niezależności.

Hr. Gołuchowski miał wielu niechętnych. Nie lubili go Węgrzy, ponieważ podejrzywali go zawsze, iż był obrońcą jedności państwowej — ponieważ na niego spadała odpowiedzialność za czyny, postępki cesarza i rodziny cesarskiej. Niemcy nie mogli mu darować, iż był Polakiem. Polacy mieli mu niekiedy za złe ,że stojąc u steru zewnętrznej polityki monarchii, kierował się wyłącznie względami interesów ogólno- państwowych. Zarzuty te nie były słuszne. Hr. Gołuchowski nie przestał nigdy być dobrym Polakiem, lecz jako austryacki minister spraw zagranicznych musiał stać tylko na stanowisku interesów monarchii. Sam fakt jednak, że tak wysoka i odpowiedzialna placówka powierzona została Polakowi, przynosił chlubę imieniowi polskiemu. Dowodził, że do Polaka można mieć zaufanie, że tam, gdzie prawa narodowości polskiej zostały uszanowane, Polak staje się rzetelnym obywatelem państwa, dbałym o jego dobro i pomyślność.

Nie wiele więcej warte są zarzuty, czynione polityce hr. Gołuchowskiego. Przyszły dziejopis oceni dostatecznie trudności, z któremi walczyć musiał minister spraw zagranicznych państwa, targanego bez wytchnienia wewnętrznemi zatargami i niesnaskami. W takiem państwie nie może być mowy o jakiejś śmiałej i celowej inicyatywie. Hr. Gołuchowski rozumiał, że dla Austryi potrzebny jest pokój, że państwa, szarpanego przez zjadliwe spory narodowościowe, niepodobna narażać na zawodne ryzyko polityki awanturniczej. Mimo to stał pilnie na straży godności monarchii i jej godność w koncercie europejskim niewątpliwie podniósł.

Hr. Gołuchowski żonaty był z ks. Murat. Dzieci wychowuje po polsku. W obejściu zachował maniery polskiego magnata. *Gord.*



Agenor hr. Gołuchowski.

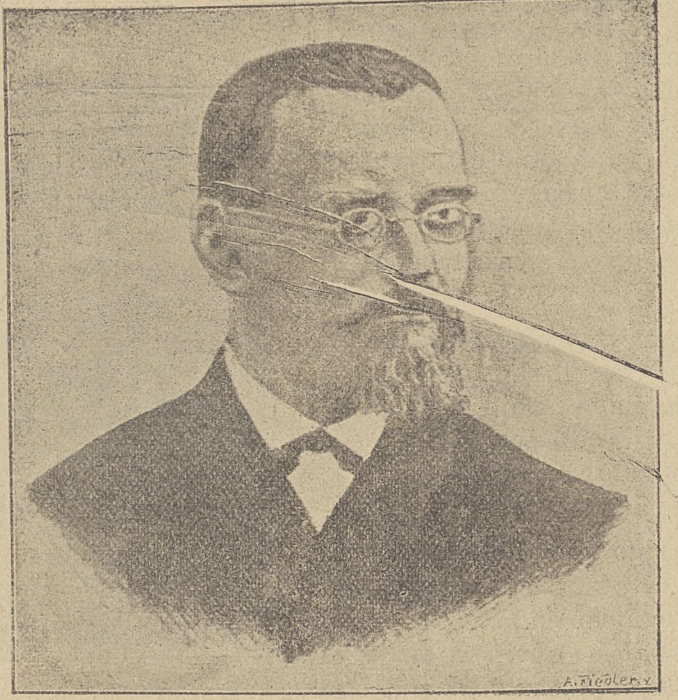
Zgon Włodzimierza Spasowicza.

W Warszawie zmarł jeden z najwybitniejszych działaczów społecznych i politycznych polskich, śp. Włodzimierz Spasowicz, znakomity prawoznawca i obrońca sądowy, utalentowany krytyk historyi i literatury, wybitny mówca i pisarz polityczny, który w ciągu całego życia świecił prawością charakteru i uczuć obywatelskich, czystością intencyj i bezinteresownością. Był duchem ożywczym stronnictwa „ugodowców", z którem można się było nie zgadzać, ale najwięksi przeciwnicy stronnictwa tego musieli przyznać śp. Spasowiczowi cnoty i zalety, jakiemi jaśniało całe życie jego i cała jego działalność.

Urodzony w r. 1829 w Rzeczycy, w gub. mińskiej, ś. p. Spasowicz ukończył studja w uniwersytecie petersburskim, poczem w tej samej uczelni był profesorem prawa kryminalnego do r. 1862, kiedy z powodu zaburzeń studenckich podał się do dymisyi i odtąd poświęcił się karjerze obrończej.

Obok zajęć profesorskich, a następnie adwokackich ś. p. Spasowicz pracował nad studjami historycznemi i literackiemi. Uczestniczył czynnie w redakcyi „Słowa" (1857), a potem w wydaniu „Volumina legum" J. Ohryzki. W roku 1865 wychodzi pierwsze wydanie jego historyi literatury polskiej. Niewielka to książka, ale jaki w niej streścił się ogrom pracy. Spasowicz nietylko przewertował pisarzów kilku wieków, ale myślał nad ich utworami, zrozumiał ich, ocenił, poustawiał na właściwe stanowiska na tle dziejów.

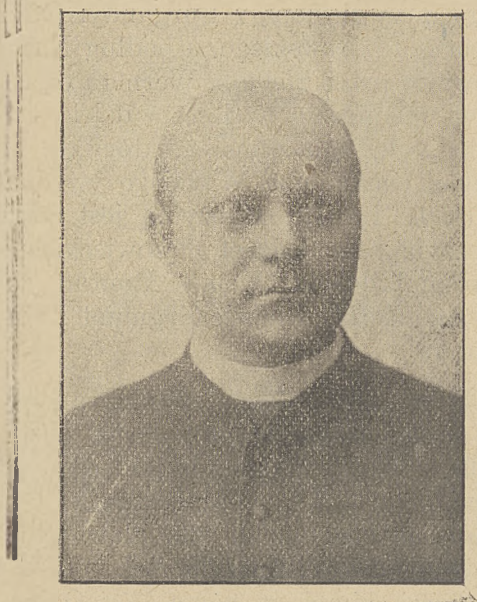
Z nazwiskiem tego uczonego, kryminologa, historyka, krytyka, badacza dziejów literatury polskiej, mówcy, estetyka, myśliciela, pisarza i polityka, skojarzone są dzieje umysłowości nowoczesnej dwóch przodowniczych narodów słowiańskich, którym, jako idealista, zmarły profesor Spasowicz pragnął utorować drogę do wzajemnego zrozumienia się i wzajemnego szacunku.



Ś. p. Włodzimierz Spasowicz.

Z walki szkólnej.

Z kościańskiej „Gazety Polskiej" dowiadujemy się, że ksiądz proboszcz dr. Surzyński, znany ze śmiałego wystąpienia na posiedzeniu dozoru szkolnego w Kościanie, pozbawiony został urzędu członka dozoru szkolnego. Pismo nade-



Ks. proboszcz dr. Surzyński.

słane ks. proboszczowi w dosłownem tłomaczeniu brzmi jak następuje:

„Jak nam wiadomo, rozwinąłeś Ksiądz żywą agitacyę przeciwko udzielaniu nauki religii katolickiej w języku niemieckim i dałeś stanowisku swemu niedwuznaczny wyraz wobec komisarza naszego, przy sposobności rokowań z dozorem szkolnym.

Stanąłeś Ksiądz tem samem świadomie w przeciwieństwie do rozporządzeń naszych, jako nadzorczej władzy szkolnej, tak iż jesteśmy zmuszeni uznać Księdza niezdatnym (!!!) do dalszego sprawowania urzędu członka dozoru szkolnego.

Zwalniamy przeto Księdza niniejszem z urzędu członka dozoru katolickiej szkoły w Kościanie.

Podpis nieczytelny."

Komentarze zbyteczne

Katedra płocka.

Katedra płocka jest najcelniejszą ozdobą dawnej stolicy Mazowsza, nieporównanie pięknie położonej i sięgającej pogańskich czasów. Gród ten starożytny, rzucony na wysokiej górze (172 stóp po nad samą Wisłą), ukoronowany majestatycznemi wieżami Tumu i zamku, potężne robi wrażenie. Istniejąc jeszcze przed zaprowadzeniem wiary chrześciańskiej był potem przedmurzem od napadów Prusaków. Gdy Mazowsze dostało się Konradowi 1207 r., Płock został stolicą księstwa. Mendog ks. litewski spalił miasto.

Najwięcej pamiątek po sobie pozostawił w Płocku Kazimierz Wielki, opasując miasto grubym murem i wznosząc zamek, którego wspaniałą wieżę dziś jeszcze podziwiamy.

Kazimierz W. uwolnił Mazowsze od uległości Czechom, robiąc je lennikiem korony polskiej, do której przeszło po wygaśnięciu książąt panujących, to jest w 200 lat później za panowania Zygmunta Starego, roku 1526, gdy ostatni książęta mazowieccy, Janusz i Stanisław, pomarli w młodym wieku.

Część Mazowsza dostała się Bonie w oprawie; z jej to rozkazu stanął pod Płockiem pierwszy most na Wisłe

Katedra należy do pierwszych kościołów w Polsce. Biskupstwo płockie było jednem z dziewięciu, które Mieczysław I ufundował. Początkowo kościół drewniany nosił nazwę N. Panny Mazowsza, dopiero w r. 1136 Aleksander Szreński, herbu Dołęga, biskup płocki, wystawił z kamienia kościół w formie krzyża z wielką rotundą i wieżami w stylu romańskim, mający wejście na zachód, a główny ołtarz na wschód zwrócony, jak wszystkie dawne kościoły. Gdy po upływie kilku wieków świątynia ta uległa zniszczeniu przez czas i pożary, biskup płocki Noskowski zajął się jej gruntownem odnowieniem i przebudowaniem w roku 1550. Wtedy to stanął ów wspaniały gmach w stylu Odrodzenia z lekką kopułą i portykiem z kolumn otwartym, z którego prowadziły do wnętrza owe przepiękne drzwi z bronzu, znajdujące się obecnie w Nowogrodzie, dar pierwszego założyciela.

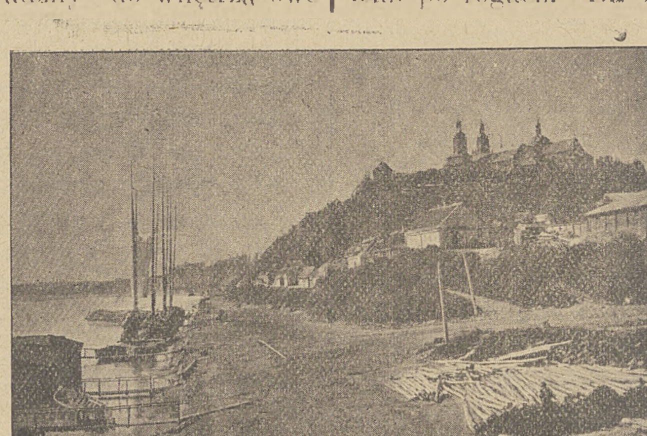
Podczas kilkakrotnych późniejszych restauracyi za biskupstwa Michała Poniatowskiego, oraz w roku 1846 front katedry uległ zupełnej zmianie; portyk skasowano, filary i wieże zmieniono nadając im charakter pseudo-klasyczny i cały front obrzucono cementem. Dziś Tum płocki nie przedstawia jednolitego stylu, mimo to jest on jednym z najokazalszych i najpiękniejszych kościołów w naszym kraju. Przy ostatniem jego przerobieniu uwzględniono renesans, gdyż w stylu tym są boczne absydy świątyni i piękna bardzo kopuła z latarnią, pokryta dachem miedzianym.

Wnętrze kościoła długie na 231 stóp, robi imponujące wrażenie. Główna nawa oddzielona jest od bocznych filarami, zakończa ją obszerne presbyteryum. Po obudwóch stronach wejścia znajdują się kaplice, dwie drugie przed presbyteryum.

Pierwsza kaplica po prawej stronie drzwi głównych, pod wezwaniem Matki Boskiej (Mansionarska) z obrazem N. Panny Niepokalanej w marmurowym ołtarzu, posiada wspaniały grobowiec z siwego marmuru And. Sierpskiego, wojewody rawskiego, starosty płockiego, i jego żony Konstancyi, z r. 1572. Jest to dzieło znakomitego dłuta, przedstawiające rycerza w zbroi w postaci leżącej, oraz niewiastę w stroju zakonnym.

Druga kaplica na lewo od wejścia zwana królewską mieści wielki sarkofag, poświęcony dwom królom polskim Władysławowi Hermanowi i Bolesławowi Krzywoustemu, którzy tu spoczywają. W r. 1825 za biskupa Prażmowskiego znaleziono w pieczarze pod presbyteryum kości tych dwóch królów oraz kilku innych Piastów, i złożono je w nowym grobie pod kaplicą tą, zwaną dawniej wikaryuszów, a na środku tejże wzniesiono okazały sarkofag, z czarnego marmuru z orłami białemi po rogach. Na wierzchu spoczywa metalowa poduszka, na niej złocona korona i berło, prócz tego na płycie marmurowej wyryty napis łaciński objaśnia czyich to zwłok pamiątka. Oprócz tych królów, spoczywają w podziemiach katedry kości 12 książąt z rodu Piasta.

W kaplicy królewskiej jest umie-



Widok Płocka od strony Wisły.

szczony w murze pomnik Pawła Głowackiego, dziekana, męża słynnego z nauk teologicznych, przyjaciela kardynała Hozyusza; jest to jeden z najpiękniejszych pomników Tumu, z roku 1580. Miał także istnieć w tej kaplicy grobowiec bogobojnego biskupa Wernera, zamordowanego z rozkazu kasztelana wiskiego Bolesty, który za to spalony został w Gnieźnie r. 1325. Posuwając się wzdłuż nawy głównej, natrafiamy pomiędzy presbiteryum a bocznemi nawami dwa piękne ołtarze z czarnego marmuru z białemi ozdobami: jeden z nich przedstawia Zbawiciela na krzyżu, drugi N. Pannę, wprost zaś tych ołtarzy umieszczono dwie ławki z ciemnego marmuru, po nad któremi wznoszą się okazałe grobowce. Jeden z nich zwłaszcza St. Krasińskiego, biskupa płockiego, w stylu Odrodzenia, znakomitej piękności. Tu za tym pomnikiem, w końcu prawej nawy, mieści się kaplica św. Zygmunta, księcia Burgundyi, patrona kościoła, którego relikwie tu spoczywają. Przy wejściu do tej kaplicy znowu natrafiamy na grobowce z odległych czasów; jeden z nich przedstawia osobę modlącą się, drugi, z czerwonego marmuru, postać spoczywającą biskupa płockiego Dunina Wolskiego, zmarłego r. 1590, oraz wiele innych.

Odpowiednią do kaplicy św. Zygmunta jest kaplica N. Sakramentu z obrazem Smuglewicza, przedstawiającym św. Piotra; w niej pomniki biskupa Pawłowskiego i prymasa Poniatowskiego.

Najpiękniejszą częścią katedry jest jednak presbyteryum z rzeźbionemi stallami dla kanoników i księży. Wielki ołtarz z drzewa, cały złocony, posiada nader piękny obraz, przedstawiający Wniebowzięcie Matki Boskiej, który według opinii znawców ma być dziełem Tycyana. N. Panna z niepоrównanym wyrazem zachwytu na twarzy, wśród grona apostołów, uniesiona jest w niebo na obłoku przez aniołów. Figura więcej niż naturalnej wielkości, koloryt obrazu świetny.



Katedra płocka.

Pomijając opis ołtarzy w bocznych nawach, które, przeniesione są z kościoła Dominikańskiego, przerobionego na zbór ewangielicki, skromnością swoją stanowią kontrast z innemi, wspomnieć jeszcze należy kilka znajdujących się w Tumie pomników, jak tablicę z popiersiem biskupa warmińskiego Krasickiego, wzniesioną w naszych czasach, z powodu, iż tenże był niegdyś biskupem płockim, oraz posąg, klęczący biskupa St. Łubieńskiego i Nowodworskiego. Katedra płocka posiada też cenny skarbiec, który z prawdziwie religijną czcią jest przechowywany w górnej zakrystyi kościoła. Skarbiec ten w dawniejszych czasach był o wiele bogatszym, znajdowały się w nim posągi ze złota i srebra, i wiele innych kosztowności, które kapituła w potrzebach kraju, głównie w roku 1808, sprzedała.

To, co dziś się tu znajduje, jest jeszcze godnem widzenia, a nawet podziwu, wszystko zakonserwowane doskonale. Pierwsze miejsce trzyma wśród tych zbiorów prześlicznej roboty kielich złoty emaliowany i wysadzany brylantami, dar Ferdynanda Karola, syna Zygmunta III. Emalia przedstawia wieczerzę pańską, Emaus i ogród oliwny. Bardzo misternej roboty jest też pastorał z Matką Boską. Głowa św. Zygmunta srebrna, złocona, z koroną złotą, mieści w sobie czaszkę tegoż Ś-go, przywiezioną z Burgundyi przez rycerza Idzikowskiego, a podług Naruszewicza przez biskupa Wernera od cesarza niemieckiego; jest to dzieło złotnika polskiego Zemelka, który je na rozkaz Kazimierza Wielkiego wykonał r. 1370. Bardzo starożytną jest czara z patyną, dar książąt mazowieckich z napisami dokoła: Książę Konrad, żona jego Zofia, synowie Zygmunt i Kazimierz.

Jako piękne dzieło złotnictwa liczy się wielka monstrancya srebrna, pozłacana, ozdobiona mnóstwem cennych kamieni i emalią; przedstawia ona anioła, unoszącego po nad głową słońce promieniste, u spodu jej pelikan rozdziera piersi, w górze Bóg Ojciec, gołębica, po nad tem krzyż. Monstrancya ta używaną jest tylko przy wielkich uroczystościach. Okazałe też jest antepedyum ze srebra, do wielkiego ołtarza, oraz obraz srebrny, misternej roboty, przedstawiający Wieczerzę pańską, dar Konstancyi austryackiej, uważany powszechnie za własnoręczną robotę Zygmunta III.

Oprócz wielu innych kosztownych sprzętów, to jest kielichów, pastorałów, monstrancyi, skarbiec katedralny płocki ma bogatą kolekcyę aparatów kościelnych z dawnych i nowych czasów, z pomiędzy których zasługuje na wyróżnienie ornat z dalmatyką z lamy złotej, z herbami Polski i Litwy, oraz Wazów, dar Karola Ferdynanda. Znakomitej wartości są też ornaty gobelinowe, z wyobrażeniem głowy Chrystusa w koronie cierniowej, rzadki zabytek fabryki gobelinów w Polsce.

Wspomnieć jeszcze należy, iż w wieku XV-tym z powodu osłabienia wież, które nie mogły utrzymać dzwonów, umieszczono je w wielkiej wieży zamkowej, naprzeciw Tumu. Tu wznosił się niegdyś potężny zamek Kazimierzowski, z którego dziś, oprócz części, przerobionej na gimnazyum żeńskie, pozostała w pierwotnym stanie baszta od strony Wisły, będąca zapewne w ubiegłych wiekach strzelnicą lub więzieniem, oraz doskonale zachowana wspaniała wieża zegarowa w stylu ostrołukowym, czworoboczna, poczerniała od starości, z czterema narożnikami u góry, której widok nasuwa wiele poważnych myśli, budzi wiele wspomnień, zwłaszcza gdy o zmroku odezwą się z jej szczytu ponure dźwięki dzwonu,

wzywającego do modlitwy za poległych pod Warną.

Katedra płocka, dzięki staraniom ks. biskupa płockiego, hr. Jerzego Szembeka, uległa w roku 1902-im zupełnemu odnowieniu.

Wanda Tyszka.



Westchnienie.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie
Ziarno zabrano, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie:
Przeklęta ziemia, rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć się o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Skazan, policzek dostaje od kata,
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na wroga męczeństwo,
Popioły wicher rozmiata!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
I tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża, wybijał i stada;
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nic już nie wzbudzi,
Biada sądzonym, o! biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku....
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko.
Ile dziś nisko, o tyle wysoko,
Staniem w narodów świeczniku!

Lucyan Siemieński.

Nie opuszczaj nas!...
(Obrazek z Królestwa Polskiego.)

Naprzykrzała się Jaśkowi Magierce służba, bo od dziecka wysługiwał się ludziom.

Dobył do Świętego Wojciecha i odszedł. Chcieli go gwałtem zostawić, zasługi podwyższali, ale się zawziął i zostać nie chciał.

Głodu nigdy nie zaznał, przyodziewek miał jaki taki, nawet kilkadziesiąt papierków uskładanych, ale co to wszystko znaczy! W innych krajach byłby już przy zegarku chodził, a może i zagrodę kupił.

Zagrodę!

Opowiadał mu na jarmarku, w Płocku, jeden pan, co za morzami bywał, że tam gotowe gospodarki dają każdemu co zechce, i to jakie! Ziemia bez mierzwy rodzi, co w nią wrzucić: pszenicę, to pszenicę, jęczmień, to jęczmień... na jednę orkę nawet! Kartofli, to miarę z pod jednego krzaka wydłubie. Strasznie bujny grunt! a i lasu



Front katedry w Płocku, po jej odnowieniu w 1902-gim roku.
(patrz artykuł p. t. „Katedra Płocka“),

nie braknie — „zbieraniną“ nikt nie pali. Po co? Byle siekierę miał, spuści dębczaka, czy sosnę. Nikt nie broni.

Taki kraj!

I płacić nikomu nic nie trza, byle na drogę starczyło — darmo dają. Dlaczego darmo? No... bo... narodu niewiele, a gruntu huk! niejedna wieś — to, bez mała, jak cały powiat u nas.

Wszystko to Jaśkowi dokumentnie opowiadał ten pan w Płocku i radził.

— Człeku, ty tu ręce po łokcie urobisz i parobkiem do śmierci ostaniesz, a tam mógłbyś żyć, niczem dziedzic jaki, i jeszcze matce przez pocztę dosyłać, jeśli rodzicielkę masz...

Ludzki pan! Nagadał się, jeszcze piwem poczęstował i „adrys“ dał na wszelki przypadek, gdyby Magierka chciał zamorskiego dobra zażyć.

Dlaczego miałby nie chcieć! Już wtedy na jarmarku pomyślał sobie, że byle do terminu dosłużyć, a potem...

„Adrys“ ma, do pruskiej granicy niedaleko, dobrze idąc, w półtora dnia stanie, pana odszuka i niech się dzieje co chce!

Jednem się jeno trochę strapił — mową. Już w Prusach z niekażdym zgadać się można, a cóż dopiero za morzami? ale... ale potrochu to się i obcej gwary poduczy. Ludzie się różnych rzeczy uczą, jak im trza. Taki organista z łacińskiej książki czyta, ani się zachłyśnie.

Co tam! byle na drogę starczyło. Choćby „ulgę“ na przejazd wyrobić, to zawsze kilkadziesiąt papierków pęknie... Szmat drogi!

Myślał... myślał... a im bliżej Świętego Wojciecha, to go bardziej ciągnęło. Radby był o tem z ludźmi pogadać, ale się bał... ludzie chytrzy mogliby mu przez zazdrość zbrzydzić. „Pan“ ostrzegał, że dwory stoją na przeszkodzie, niby dlatego, żeby ze wsi rąk nie ubywało. Wiadoma rzecz, dla dziedzica lepiej, jeśli w żniwa ma kto na „pańskie“ chodzić...

Układał sobie w głowie Magierka, ale pary z ust nie puszczał, jeno gdy ludzie coś zmiarkowali, powiadał kłamiąc, że się za Rypin do szlachcica na stangreta zgodził. Przed matką — choć mu markotno było — toż samo.. Żal mu było rzucać „rodzoną,“ żal!

krzepił się jednak tem, że jak się dorobi, to matuli warzone, pieczone dosyłać będzie, a nie, to ją do siebie zabierze.

Szykował się ciągiem; ale skrycie, żeby go kto nie podpatrzył i nie wydał. Tak go paliło, że w nocy bywało budzi się po „adrys,“ schowany za belką — i radby ptakiem polecieć. Czasem we śnie wydawało mu się, że tam już jest... Dali mu w jednym półłanku gruntu pszennego morgów trzydzieści, las skrawek, ciołków trzechletnich parę, parę koni... brat bratu po sto rubli sztuka! Krów dojnych dziesiątek.... trzody nierogatej i innej gadziny także... Chałupa na węgieł pod gontem, obora na podmurówce... w stodole klepisko z dębowych bali, a on sam w kaszkiecie, w surducie czarnym, przy zegarku.. galanto!

Aż złość go brała, gdy się ocknął i przekonał, że to jeszcze nie...

Doczekał nareszcie św. Wojciecha, zapłatę kwartalną wziął, za służbę podziękował i gdyby nie to, że akurat wypadł we wsi odpust, byłby zaraz w drogę ruszył.

Chciał jednak raz ostatni być na odpuście, między ludźmi się pokazać. Narodu będzie moc z całej gminy — będzie i Jaguśka Matusówna z Dużej-Woli... Siarczysta dziewucha! w oczach to jej tak świeci, jakby nie przymierzając krzesiwkiem krzesał!

Teraz toby go nie chciała... gospodarska córka — a on co? parobek? ale mechno się dorobi! Już sobie z góry umyślił: za pierwszy grosz „hamerykckie“ korale kupi, słodkiej wódki butelek parę weźmie, szkapy do wasąga założy i do Matusów na zmówiny przyjedzie. Dopieroż będą dziwy! ze zwyczajnego parobka taki bogacz! Wtedy to całej wsi powie, jak się stało...

Ostał, choć mu się strasznie cniło. Na odpuście nie mógł się docisnąć do Jagusi, jeno ją zdaleka pozdrowił. Roześmiała się, bo była wesołą i lubiła zalecanki, ale z Michałkiem Grzędą poszła, choć Jasiek kiwał, żeby się krzynę wstrzymała... Poczekaj! będziesz ty inaczej śpiewała! Poczekaj! Magierkowa będziesz, niczyja inna! sama się będziesz napraszała!

Po odpuście zeszło mu jeszcze. Miał trochę zimowego obleczenia, kożuch, buty z podkówkami, sukmanę odświętną...

Po co mu dźwigać w taką drogę, kiedy tam wszyćkiego dostanie! Sprzeda. Miał u szwagra, niby Walka, rubli trzydzieści, pożyczki. Wymiętosił. Poszli z wieprzakiem na jarmark, a oddać musieli, choć ani Walkowi, ani siostrze było niesporo. Zeszło na tem dni cztery — ale co robić.

Nareszcie miał już wszystko w garści.

Kazimierz Laskowski.

(Dokończenie nastąpi.)

LEGENDA.

Dawno już dawno temu — jak najstarszy syn Bolesława Krzywoustego Władysław, opuszczał kraj swój, kryjąc się na dworze niemieckim. Zbolały i smutny, z nielicznym orszakiem oddanych mu dusz, spieszył przez dziedziczny Śląsk, by za granicami własnej ziemi szukać u wrogów pomocy. Na kresach dziedzictwa stanął — ze smutkiem spojrzał dokoła i ze łzą w oku szeptał: — Ziemio ty moja — nie opuszczam ciebie na zawsze! Przyjdę zbrojny — przemocą mój sztandar zatknę i władzę moją rozciągnę na wszystkie dzielnice.“ —

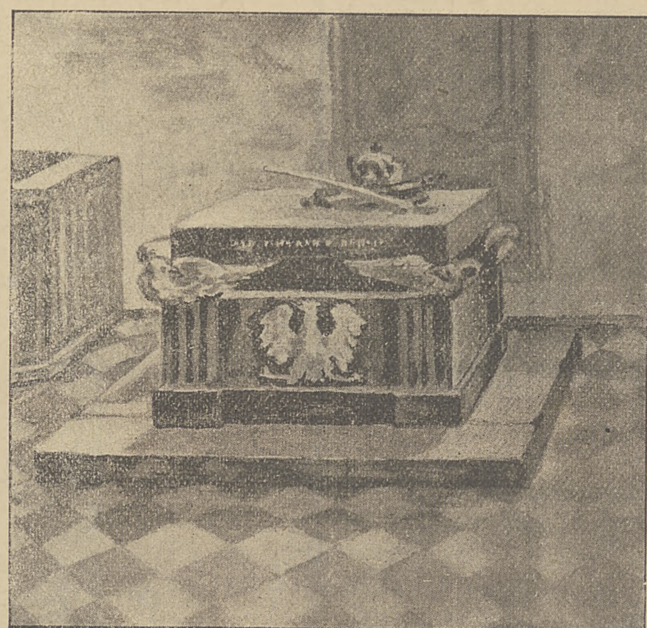
— Nie, królu — wygnańcze — nie wrócisz już tutaj — zostaniesz na obczyźnie!

Zdziwiony król zwrócił załzawione swe oczy w stronę, skąd głos wychodził. Z gęstwiny leśnej patrzyły ciemne oczy jakiegoś staruszka — długa, siwa broda i ręka w górę podniesiona wzbudzała w biednym wygnańcu przestrach i szacunek.

— „Ktoś ty, że śmiesz takie straszne prawić mi proroctwa?“ —

— Jam Przeznaczenie! Synom twoim nadam tę ziemię śląską, ale zarazem na nią i na dzieci twoje rzucam przekleństwo za niezgodę waszą. Przekleństwo trwać będzie długie wieki, dopóki przyszłe dzieci polskie wspólną pracą, zdeptaniem prywaty, wielką miłością Ojczyzny nie złamią przekleństwa.

Stało się! Szedł duch zniemczenia najpierw do pałaców, potem do chat. Spokojnie, powoli, ale systematycznie, wytrącał z domów mowę ojczystą, obyczaje i staropolskie tradycye. Minęły wieki, a na tej rdzennej — polskiej ziemi, słowo ojczyste prawie zamarło. Straszne przekleństwo! Wszystko, jakby spało, ani słowa protestu! Bez walki ziemię zdobyto. Na ziemi, gdzie pieśń polska rozlegała się od granic do granic, Polak-przybysz czuł się zupełnie obcym. Nazwiska polskie krył niemiecki patryotyzm.



Grobowiec Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w katedrze płockiej

(patrz artykuł p. t. „**Katedra Płocka**“)

— Płakać należałoby, każdej duszy polskiej, gdyby nie druga część proroctwa.

Oto nadszedł czas zbudzenia!

Do pracy, do oświaty polska młodzieży! Niechaj to hasło polskie znów cichutko biegnie od pałaców do chat, zapuka do każdego serca polskiego, pobudzi wszystkich bez wyjątku do pracy narodowej. Bogaty i biedny, pracujący umysłowo lub fizycznie, młody i stary, słowem wszyscy, niech wejdą w skład wielkiej pracy narodowej.

Czuję, jak z wszystkich zakątków tej ziemi biegną drżenia radośne, zbiegają się, łączą, tworząc jakiś uciechy pełen hejnał przyszłości.

Śpiewaj duszo — pieśń potężną, pieśń przewielką i wspaniałą; niech echo pieśni niebosiężne głosi światu: *zmartwychwstało życie ducha.*

Wera.

Na życia mego drodze.

Na mego życia drodze
Ni kwiatów, ani róż...
I bratków nie znachodzę
Tylko szlak pusty wzdłuż.
Przyjaźnie i uciechy
W mogile legły wraz;
Więc dzisiaj ludzkie śmiechy
Są dla mnie — niby głaz.
Lecz w głowie myśl się budzi
A w sercu uczuć zdrój:
Poświęcać się dla ludzi
To hasło, cel to mój!
Zapomnieć co tak boli,
Co duszę szarpie, rwie,
Zaprzeć się własnej woli,
Ocierać innym łzę...

A czem? tą pieśnią serca,
Co dźwięczy niby dzwon...
By nawet przeniewierca
Zapłakał na mój zgon.
Więc, bracie, kocham ciebie
Nie bacząc czyś mi druh...
Zapłaty szukam w niebie,
Dokąd mój tęskni duch.

Stellina.

Pokarmy i napoje

używane w Polsce w wiekach XV-ym i XVI-ym.

Wiek XV-y odznaczał się jeszcze niezwykłą skromnością w używaniu potraw i napojów. Przodkowie nasi w owych czasach za specyał poczytywali placki i baraninę na węglach pieczone. Gęś pieczona zjawiała się na stole tylko podczas uroczystych obiadów, gościowi podawano wówczas oprócz gęsiny, groch z jagłami, oraz donicę, piwem napełnioną, i na tem kończył się wystawny obiad.

W XVI-ym jednak wieku kto pragnął gościa przyjąć odpowiednio, musiał przedtem spędzić dni kilka na naradzie z kucharzem. Sztuka kucharska dosięgła też wówczas wyżyn artyzmu.



Jan Wasilewski.

Polowanie.

Na śniadanie starsi kawalerowie pijali zwykle wódkę grzaną. Żonatym małżonki przygotowywały rano różne zupy, obficie korzeniami i cukrem zaprawiane. Dzieci również otrzymywały rano zupę, lecz przestrzegano, aby nie była na winie sporządzana.

Na drugie śniadanie starsi pili wódkę i jedli pieczone na węglach placuszki małe, „pępkami" zwane, wędzonkę lub kapustę kwaszoną.

Zwyczajny obiad w domu szlacheckim składał się z rosołu lub zupy, jarzyny i pieczeni. Rosół gotowano zwykle z kilku gatunków mięsa i kapłona lub cietrzewia. Najulubieńsza zupą była polewka z piwa z grzankami. Po rosole podawano przygotowane w nim mięso, a następnie stawiano na stole groch albo kaszę jaglaną z wędzonką. Na pieczyste szła gęś, jabłkami nadziewana, kapłon z kluskami lub szynka pieczona, obłożona zwykle jabłkami gotowanemi lub pieczonemi.

Trunki przy obiedzie pijane były w bardzo małej ilości, a dopiero po wieczerzy zwyczaj pozwalał pić do woli.

W domach panów możnych zwykły obiad składał się z sześciu dań: rosołu, kur, jarzyny z mięsem, zwierzyny i tortu lub cukrów deserowych. Potrawy wogóle wszystkie obficie zaprawiane były pieprzem, szafranem, cukrem i migdałami. Przed służbą, wnoszącą do jadalni półmiski z potrawami, postępował zwykle specyalny sługa z białą laską w ręku.

Stół do obiadu nakrywano obrusem, często starannie wyszywanym, a na nim, aby się nie splamił, kładziono wielką tacę mosiężną na środku, gdzie sta-

wiano półmiski. Na talerzach leżały małe serwetki podłużne, również ręcznie wyszywane, a na poręczy każdego krzesła ręcznik do obtarcia rąk, mytych przed obiadem i po jedzeniu.

Sztuka kuchmistrzów ówczesnych ujawniała się dopiero w czasie uczt, z powodu okolicznościowych uroczystości wydawanych. U panów możnych w czasie uczty stawiano na stołach dla ich ubrania lepione z mąki i kleju przysmaki, suto zwykle pozłacane i ziarnkami grochu przystrojone. Ryby, podawane do stołu, miały też pozłacane wątróbki. Sosy do ryb sporządzano z krwi bydlęcej, z klejem i winem mieszanej, a silnie korzeniami zaprawianej, aby — jak się wyraża jeden z kronikarzy — „zdroje winne gasiły zapał, przez korzenie rozniecany“.

Jeżeli szczupakowi w gotowaniu łeb odpadł, strojono go w czapkę błazeńską i w tym stroju na półmisku podawano. Pasztety i pieczyste przystrajano nadzwyczaj starannie i misternie, nawet malowidłami, które częstokroć wykonaniem podziw budziły.

Z ryb używano przeważnie małe a tłuste jak: śliży, kiełbie, pstrągi, lipienie, karpie i łososie, podając na stół z sałatą, kapustą lub sokami: wiśniowym, malinowym, czy też z octem różanym.

Wraz z pieczystem, które najczęściej składało się z barana w całości, na półmisku ułożonego z pozłocistemi rogami, wnoszono wyrobionych z cukru: lwa, damę wytwornie ubraną lub jelenia, nie rzadko naturalnej wielkości, a obok ustawiano torty w kształcie dębów z żołędziami, otoczonych wieńcem z róż pozłocistych. Prócz tego, tu i owdzie ustawiano kury złocone, orły, zające z pozłacanemi uszami, przygotowane z chleba, migdałów i kleju; wewnątrz tych cacek kucharskich i cukierniczych były różne wyszukane potrawy. W końcu podawano owoce, figi, pomarańcze, kasztany, cukry, zawsze na złotych tacach układane.

W bogactwie zastawy stołowej i ilości dań prześcigano się wzajemnie, to też na wielkich ucztach ilość potraw czasem do stu dochodziła. Dopiero za czasów Zygmunta III-go ograniczono liczbę półmisków do trzydziestu.

Uczty w domach szlacheckich były mniej wystawne, a gdy raczono jakiegoś gościa zasłużonego, przed nim stawiano lepsze potrawy, jeżeli jednakich dla wszystkich biesiadników zabrakło. Zamiast tortów podawano chleb świeży, specyalnie dla gości pieczony, oraz piankę z ubitej śmietany z marcepanem.

Podczas zwyczajnych obiadów stawiano wino tylko przed panem domu, który nalewał jeden kieliszek swemu marszałkowi, a resztę sam wypijał. Gdy podczas uczty szlachcic piwem zdrowie gościa wypijał, był to dowód niezamożności, a więc zamiast zwykłej po ucztach pijatyki, zabawiał gości opowiadaniem przygód myśliwskich, zawsze zabawnych, choć nie zawsze z prawdą zgodnych.

Do ulubionych napojów należały: piwo, wódka, miód i wino.



Robotnik z huty.
(patrz artykuł „Żelazo i stal teraz i dawniej“)

Piwo jest starodawnym trunkiem słowiańskim. Za najlepsze uważane było piwo pszenne, a następnie marcowe, szczególniej w Częstochowie wyrabiane. Wódką nikt nie gardził, używając jej zawsze dla rozgrzania się, ale czasem przebierano też miarkę. Gospodarzowi miano za złe, jeżeli na wstępie nie podał gościowi szklanicy przepalanki. Do stołu używano też miodu, syconego w domu. Wina pijano mniej w przekonaniu, że ono suszy, gdy piwo tuczy. Do potraw jednak używano wiele wina w różnych gatunkach.

Czasem urządzano specyalne pijatyki, a wówczas już o piwie nie było mowy. Spijano wino puharami i wiele, bo nikt nie zwracał uwagi na to, jak długo trwała biesiada. Kochanowski, wspominając o dawnych ucztach i pijatykach, pisze: „Gospodarz sam nawet nie wiedział ile wina wypili goście, wiele szklanic stłuczono, wiele łanych świec spalono. Dopiero nazajutrz dowiadywał się o tem, leżąc na łóżku, często poraniony. Bo gdy się wiara spiła, pogaszono świece i za łby się wodzono, przyczem i gospodarzowi nieraz się dostało.“



Przenoszenie surowca do wytopienia.
(patrz artykuł „Żelazo i stal teraz i dawniej“)

Te pijatyki były najczęstszym powodem chorób, a głównie niestrawności, której dawni Polacy nabawiali się na sutych ucztach. Ten i ów, powróciwszy z takiej libacyi, stękał i kwękał dopóki do grobu nie poszedł, jeżeli mu nie zaradziła złemu żona lub uproszona przez nią baba, znająca się na ziołach; czasem wreszcie przejezdny zakonnik, a rzadziej już umyślnie wzywany cyrulik lub lekarz.

Zauważyć tu należy, że do końca XV-go wieku w Polsce nieznane były te liczne choroby, jakie nas obecnie trapią. Większość z nich zawdzięczamy Włochom i Francuzom, którzy je do nas za pośrednictwem młodzieży polskiej, w tych krajach nauki pobierającej, przysłali wraz że swymi obyczajami.

W owych czasach, gdy mąż zachorował, żona gotowała kopytnik z szałwią i podróżnikiem, naparzała go chebdem lub złotowierzbą, obwiązywała mu głowę grzankami, zadawała rumianek z syropem i tym sposobem leczyła. Jeżeli się wysypały krosty na ciało, smarowała je wódką lewandową. Gdy mąż upadł i potłukł się, szukała łopianu, a gdy mu na pijatyce potłuczono głowę, przykładała bylicę święconą. Osłabienie ogólne z nadmiaru pracy leczono łaźnią parową, po której grzbiet wódką z mydłem nacierano.

Gdy się więcej chorób ukazywać zaczęło, uciekano się wówczas częściej do lekarzy, ale lekarze Polacy mniej posiadali zaufania od Włochów.

Lekarz za dwie wizyty pobierał czerwony złoty, a od ubogich brał co mu dano. Skromnymi jednak wówczas medycyna rozporządzała środkami, to też i lekarzom rzadko udawała się walka z chorobą.

As.

Piwo sprzymierzeńcem?

Zwolennicy alkoholu zaczynają w obec ruchu wstrzemięźliwości pod niejednym względem poważne czynić ustępstwa. Przyznają już n. p. chętnie konieczność zupełnej abstynencyi dla dzieci, uznają szkodliwość napojów z wysoką procentowo zawartością alkoholu jak n. p. wódki i t. p. O szkodliwości niektórych napojów alkoholowych wszakże, a zwłaszcza piwa, ogół społeczeństwa nie ma wyobrażenia.

Przeciwnie w wielu wypadkach uważa się piwo jako silnego sprzymie-

rzeńca w walce z pijaństwem. Nawet na kongresach **międzynarodowych** przeciw alkoholizmowi tu i owdzie odzywają się głosy, że najlepszym środkiem, aby wykorzenić zamiłowanie do wódki, mogłoby się okazać piwo. Nie ulega wątpliwości, że wódkę można zwalczać za pomocą piwa. Niewątpliwie jest prawdą, że litr piwa sam w sobie daleko mniej zawiera alkoholu i wskutek tego o wiele mniej wyrządza szkody, aniżeli litr wódki. Lecz z drugiej strony jest też prawdą, że osobnik, który wypijał dziennie, dajmy na to, pół litra wódki, nie zadowolni się tą samą ilością piwa, lecz pochłonie conajmniej 10 razy tyle tego ostatniego napoju. Wśród amatorów piwa nie rzadko spotkać się można z żyjącemi beczkami, które pompują w siebie dziennie od 15—20 kufli piwa. Zdarzają się nawet monstra, zdolne do wypicia 40 kufli na jedną dobę.

Piwo jest zatem więcej niż wątpliwej wartości sprzymierzeńcem. Szwecya zastosowała u siebie ten środek ku wyrugowaniu wódki, co jej się też w znacznej części udało. Lecz niezadługo wypadnie jej walczyć z piwem podobnie jak dawniej z wódką. To zaczynają w Szwecyi samej rozumieć w obec szybko z roku na rok wzrastającej konsumpcyi piwa.

Najlepszy wszakże przykład, że piwo nie przyczyni się do uszczęśliwienia ludzkości, stanowią stosunki w Bawaryi.

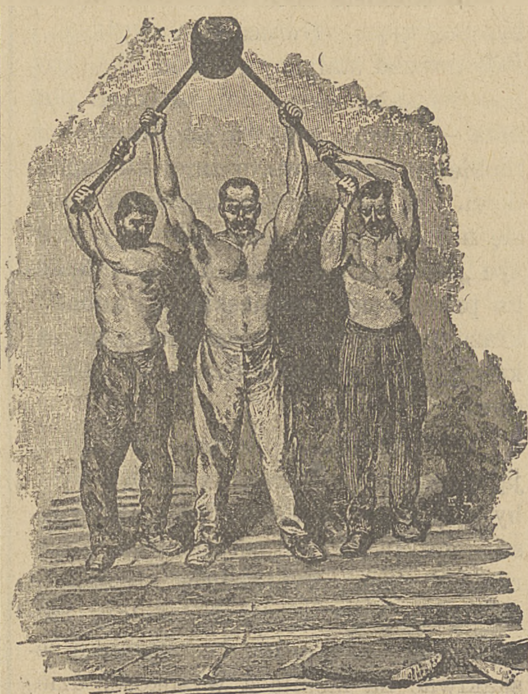
Piwo jest tam w istocie posunięte do możliwie wysokiej doskonałości. Jest smaczne i zawiera mało alkoholu, a bywa przytem wyrabiane pod ścisłą kontrolą rządu. Skutkiem tego Bawarczycy polubili piwo do tego stopnia, że konsumpcya przybrała wprost olbrzymie rozmiary. A rezultat tego jaki?

Niedosyć, że w Bawaryi wyrabia się osobny typ ludzi przypominających swą ociężałością ospałe woły, że wzmagają się zastępy bezużytecznych dla kraju filistrów, którzy poza kuflem piwa niczego nie widzą, ale powstają tak poważne komplikacye społecznej natury, że przyszłość kraju wystawioną będzie na niebezpieczeństwo.

Niedawno temu naczelny lekarz bawarskiego oddziału sanitarnego dr. von Vogel, wykazał, że 60—70 proc. młodzieży opuszczającej bawarskie szkoły średnie, jest niezdatną do służby wojskowej. Jako przyczyny główne tego zastraszającego zjawiska podaje ów lekarz gruźlicę i złe odżywienie.

Lecz to są tylko dalsze skutki przyczyny głębiej leżącej.

Znany fizyolog, prof. Bunge wykazał na podstawie długoletnich badań, fatalny wpływ nadmiernego używania piwa u kobiet. Otóż kobiety pijące dużo piwa tracą częstokroć zdolność karmienia. W Bawaryi staje się to już klęską dość powszechną. Stwierdzoną zaś jest rzeczą, że dzieci karmione sztucznie często karłowacieją bądź



Rozbijanie surowca.
(patrz artykuł „Żelazo i stal teraz i dawniej")

pod względem fizycznym bądź duchowym, a w każdym razie stają się mniej odpornemi aniżeli dzieci karmione piersią matki. Jeżeli nadto takie dzieci od najmłodszych lat przywykną do alkoholu, to nader łatwo staną się ofiarą tuberkulozy lub jakiej zakaźnej choroby.

Gdy weźmiemy dalej w rachubę różne choroby serca, które Bawarczycy notorycznie zawdzięczają swemu zamiłowaniu do piwa (znane jest wyrażenie: bierherz) to przyznać musimy, że piwa nie można zaliczyć do napojów dodatnio działających, a w każdym razie nie godzi się je uważać jako sprzymierzeńca w walce z pijaństwem. Przeciwnie piwo chyba jest tylko sojusznikiem pijaństwa.

Wiadomo przecież, że lubownicy piwa często do tego napoju dolewają wódki, lub też poprzedzają każdy kufel kieliszkiem wódki lub koniaku, aby, jak mówią nie naziębić żołądka. Istotna przyczyna tego nader często spotykanego objawu jest ta, że ludzie piją piwo z początku niby dla ugaszenia pragnienia, dla poratowania zdrowia i t. d., z czasem polubią je głównie dla podrażnienia (narkozy), jakie sprawia alkohol znajdujący się w piwie. W końcu nie wystarcza już ilość alkoholu mieszczącego się w piwie, przeto dolewa się wódki; wreszcie piwo ustępuje wogóle na dalszy plan, a napoje o silnej zawartości alkoholu dokonują swego, aby z człowieka trzeźwego zrobić nałogowego pijaka.

Nasz naród żyje jeszcze pod znakiem wódki. Zaczyna się przecież budzić reakcya. Ludzie zastanawiają się nad sposobami wyrugowania wódki. Tu i owdzie odzywają się głosy, aby rozpowszechnić używanie piwa, a zmniejszy się, według nich, zamiłowanie wódki. Przeciw takiemu zapatrywaniu trzeba stanowczo wystąpić. Nie zyskamy nic na tem, że pozbędziemy się jednego licha, aby sprowadzić drugie. („M. d. p. r. w.")

Ojczyzna.

(Dla dzieci.)

Co jest Ojczyzna? — pytała Juleczka.
A ojciec na to tak odrzekł dziecinie:
Ojczyzna, Julciu, to nasza ta rzeczka,
Co tam pod lasem cicho sobie płynie.
To te w ogrodzie i kwiaty i drzewa,
To za ogrodem te pszeniczne kłosy,
To ten nasz wietrzyk, co lekko powiewa,
To leśnych ptaków szczebiotliwe głosy.
To łąki nasze, pachnące ziołami,
To nasze piosnki i nasze pacierze,
To piękne niebo, co świeci nad nami,
To wszystko, Julciu, co tak kochasz szczerze.

Wład. Bełza.

Nasi sąsiedzi z Marsa.

Postępy nauki, acz zwolna, ale tem pewniej wyjaśniają wiele rzeczy niezrozumiałych. Lecz im więcej kto umie, tem lepiej pojmuje, że sam jest drobnym pyłkiem we wszechświecie, i że ta ziemia, na której mieszka, jest zaledwie małą cząsteczką tego, co się nazywa „światem widzialnym".

„Człowiek — panem całego wszechświata" — to frazes, który dziś brzmi poprostu śmiesznie, i śmiesznem jest przekonanie, że tylko na naszej ziemi, na tej drobnej cząstce wszechświata — mają zamieszkiwać istoty rozumne. Ale ludzie zaczynają się już wstydzić swej zarozumiałości, i godzić na przypuszczenie, że i na innych planetach mogą istnieć równie, a może i wyżej niż ludzie — rozwinięte istoty. I coraz więcej jest uczonych, których pociąga rozwiązanie i wyjaśnienie tej zagadki. Jeden z nich właśnie, Willy Peterson-Kinberg, zajmuje się tem zagadnieniem w swojem popularnem dziele: „Jak powstał wszechświat i ludzkość?" Wierzy on w istnienie mieszkańców

Marsa, i może przekonywającemi argumentami poprzeć swoje twierdzenie.

„Gdybyśmy mogli dostać się na powierzchnię Marsa, na ląd stały tej planety, co byśmy tam ujrzeli? Czy ludzi, takich jak my? Nie! tego nie przypuszczam. Istoty tam mieszkające, może najdoskonalej rozwinięte, są zapewne innej niż nasza budowy, dlatego, że nasze ciało jest zastosowane do warunków życia na ziemi. A że na Marsie te warunki są odmienne, zapewne wpływają one na doskonalszy rozwój jego mieszkańców. My — nie znając tych okoliczności — nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, rodzaju bytu na tej planecie, ani więcej od nas rozwiniętych istot tam żyjących. Jedno tylko zdaje się nie podlegać wątpliwości: że mieszkańcy Marsa górują nad nami rozumem i stoją na wyższym stopniu rozwoju umysłowego, choćby dlatego, że Mars jest nierównie starszym od ziemi, a zatem i ród mieszkańców Marsa, starszym od rodu ludzkiego. Mars mniejszy jest od ziemi, i musiał prędzej ostygnąć niż ziemia skutkiem tego, że krąży dalej od słońca. Wyprzedził zatem ziemię, o lat może miliony i dlatego jego mieszkańcy muszą być istotami doskonalej od ludzi rozwiniętemi. Jednym z argumentów przemawiających za tem przypuszczeniem jest to, że 999°/₀ ludzi, mieszkańców ziemi wcale temu nie wierzy...

Zwłaszcza ci, którzy poczytują się za „królów wszechstworzenia“, a swojem uporczywem, zakrzepnięciem w raz przyjętych pojęciach, stwierdzają słaby rozwój dotychczasowy ludzkości, która jednak ma przed sobą widoki wyższego z czasem udoskonalenia.

Niema żadnej rozsądnej podstawy do mniemania, że inteligentne istoty, przebywające na Marsie, żyły lub żyją w podobny jak my sposób, tem więcej, że o ile się zdaje, warunki życia tamtejszego są przyjaźniejsze od naszych. Niebo Marsa jest bezchmurne i zawsze pogodne; zdaje się również, że niema tam gwałtownych zmian temperatury i skutkiem tego daleko mniej bywa burz niż na naszej ziemi. Ulewy nie strącają tam owoców, ponieważ deszcz na Marsie tworzy się z drobno przesianych kropelek wody, spadającej zwolna, przepajającej głębiej ziemię planety, i pobudzającej tamtejszą roślinność do większej bujności.

W przerwach pomiędzy temi błogosławionemi deszczami uśmiecha się nad Marsem pogodne, ciemno błękitne niebo, a słońce o jedną trzecią część mniejsze niż nasze, przesyła niczem nie przysłonione promienie, które rozgrzewają płasko-wzgórza i sprzyjają bujnej roślinności. Wprawdzie słońce daje Marsowi połowę zaledwie tego światła i ciepła, którem obdarza ziemię, ale że — o ile się zdaje — nie ma na jego niebie chmur ani obłoków, więc nic nie zasłania promieni słonecznych, i nie pochłania ich ciepła.

Gwiaździste noce na Marsie muszą być czarujące. Swiecą tam niezliczone roje gwiazd stałych, a wśród nich króluje większa, najjaśniej świecąca planeta — ziemi, krążąca na Marsowem niebie od strony wschodniej ku zachodowi. W tym samym kierunku toczy się najwięcej oddalony Marsowy księżyc „Deimos“, a blisko Marsa przebiega przestwory niebieskie „Phobos“, krążący z szybkością kilometra na sekundę, od zachodniej strony ku wschodowi.

W tym rajskim świecie przebywają mieszkańcy Marsa. Ciekawe byłoby sprawdzić, o ile trafne są przypuszczenia niektórych astronomów, obdarzonych bujną wyobraźnią, a odnoszące się do jego mieszkańców; czy rzeczywiście potrafią oni bez szwanku zeskakiwać na ziemię z wysokości dziesięciu metrów; czy drzewa na Marsie są trzy razy wynioślejsze od naszych, dlatego, że nie bywa tam burz; ciśnienie powietrza jest mniejsze o 2,7 razy i czy to ciśnienie wywiera jaki wpływ na żyjące istoty, czy są one trzy razy większego niż my wzrostu? itd.

Ale nie możemy przewidzieć, jakie odkrycie poczynią następne pokolenia. Coby powiedzieli przodkowie nasi z XVI stulecia, nagle obudzeni do życia ludzkiego z epoki Jagiellońskiej — na widok przebiegającego samochodu, na głos dochodzący z odległości wielu mil przez telefon — na rozbłyskujące jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej elektryczne światło: — nie mówiąc już o kolejach i telegrafach! Więc i to, co my w obecnej chwili uważamy za niemożebne do osiągnięcia — porozumienie się z istotami zamieszkującemi na innych planetach — może przez naszych potomków będzie wykonane, i uważane za rzecz najzwyklejszą...

Ale jeżeli chcemy zanajomić się z mieszkańcami Marsa, nie powinniśmy tracić czasu, bo za kilka setek lat, Mars spotka się w biegu ze swoim księżycem — „Phobosem“ — który zetrze z jego powierzchni dotychczasowe życie! Wtedy rozpocznie się dla Marsa nowa epoka rozwoju: my zaś dotąd będziemy przodować w rozwoju świata, dopóki i nasz księżyc nie zetknie się z ziemią, a wtedy przodownictwo obejmie po nas którakolwiek z siostrzanych planet.

Warto wysłuchać jakie zdanie wygłasza Willy Peterson-Kinberg o słynnej mapie Schiaparellego, przedstawiającej kanały na Marsie.

„Na pierwsze spojrzenie wpadają nam w oczy te kanały, choć wielu ludzi powątpiewa o wiarogodności rysunku. Jest on jednak wierną kopją mapy Schiaparellego, uznanej przez innych astronomów za zupełnie dokładną. Więc dlaczego to powątpiewanie? Jeżeli istnienie kanałów wytłomaczyć można jedynie przypuszczeniem, że są one sztucznie zrobione, nie można zaprzeczyć istnienia na tej planecie istot o wysokim rozwoju umysłowym, które wykonały to dzieło. Ale my trwamy uporczywie w przekonaniu, że tylko my — ludzie — jesteśmy najdoskonalszemi istotami we wszechświecie — że tylko my potrafilibyśmy wykonać podobne dzieło. A niektórzy uczeni nie chcą zgodzić się na możliwość podobnego przypuszczenia, dlatego tylko, że nie oni pierwsi zrobili to odkrycie“.

Jednakże widać przez teleskop tego samego wieczora kanały podwójne i pojedyncze: widać, że te kanały od czasu do czasu zmieniają miejsce, i że znikają chwilami, co jest dla nas zupełnie niezrozumiałe. Ale kierunek ich jest tak wyraźnie celowy, że gdyby wykonane były przez nas — ludzi — nie mogłyby być lepiej uplanowane.

Widzialna na lewej stronie planety szeroka odnoga morska, zakręcająca się łukowato ku wschodowi, półwysep Heshemio, wyspy Ausonia, Hellas i otaczające je wody, są naturalnego pochodzenia; ale dwa krzyżujące się z sobą kanały na wyspie Hellas, i równolegle położone do siebie kanały na stałym lądzie, jak również trzy kanały na wyspie Thamusia po prawej stronie planety, są wyraźnie dziełem inteligentnych mieszkańców Marsa. Że są rozmyślnie zrobione, tłomaczy się tem, że gdyby ich nie było, całe obwody lądu podlegałyby zatopieniu; naprzykład w czasie topnienia śniegów na południowym biegunie, wyspa Hellas byłaby pod wodą, gdyby nie kanał biegnący od południa ku północy. Ale mieszkańcy Marsa nie zadowolili się tym jednym kanałem i zbudowali drugi, przecinający go od zachodu ku wschodowi, zapewnie dlatego, ażeby pierwszy nie przepełniał się podczas zbytniego napływu wody. Dzięki drugiemu kanałowi, ten nadmiar może spłynąć na prawo i na lewo.

Wszystko więc przemawia za tem, że kanały te zostały zbudowane z wyraźnym celem — a niema żadnego dowodu zbijającego to przypuszczenie, i

stwierdzającego stanowczo przypadkowość sieci kanałów na Marsie.

W sprawie renty wojskowej.

Często dochodzą nas zapytania, kto właściwie może otrzymać rentę wojskową w ilości dziesięciu mark miesięcznie, jaką niektórzy landwerzyści otrzymują. Obecnie wydaje rząd na rencę 16 i pół miliona marek, a mimo to dają się często słyszeć w kołach starych weteranów skargi, że ten lub ów nie może otrzymać zapomogi wojskowej chociaż bił się nie tylko w wojnie francusko-niemieckiej, lecz czasem także w wojnie prusko-austryackiej. Bardzo często jest sobie weteran sam winien, że nie otrzyma renty wojskowej, bo albo nie znał odnośnego prawa, albo też nie uczynił zadość wszelkim wymaganiom rzeczonego prawa. Będzie więc rzeczą bardzo dobrą, odnośnym przepisom bliżej się przyjrzeć.

Prawo przepisuje, żeby przeznaczono z funduszu dla inwalidów rzeszy niemieckiej pewną sumę na zapomogi dla podoficerów i żołnierzy, którzy brali udział w wojnie francusko-niemieckiej roku 1870—71, lub w innych poprzednich wojnach niemieckich i którzy, będąc trwale i zupełnie niezdolni do pracy, potrzebują wsparcia. To jest główna podstawa, na mocy której władza udziela zapomogi. Dla uzyskania renty wojskowej nie wymaga się, żeby wnioskodawca odniósł jakiekolwiek okaleczenie w czasie wojennym; natomiast trzeba zważać na następujące przepisy:

1. Zapomogi wynoszą rocznie 120 marek i bywają w miesięcznych ratach zawsze naprzód wypłacane. Zapomog nie można obłożyć aresztem. 2. Nie otrzyma zapomogi ten, a) który otrzymuje z kasy państwowej prawną rentę inwalidzką lub inne podobne zapomogi; b) ten, który wskutek złego prowadzenia się uważany jest jako niegodny korzystania z zapomogi. 3. Traci sie rentę wojskową, jeśli warunek, pod którym renta została udzielona, upada lub już nie istnieje. 4. Czy także prosty wymarsz uważać należy jako wyprawę wojenną, lub czy się kto „chwalebnie“ bił, o tem decyduje medal wojskowy. Kto zatem posiada taki medal, jest uprawniony do żądania renty i uzyska ją, jeżeli zadosyćuczyni i innym przepisom prawnym.

Jak więc widzicie, kochani czytelnicy, warunki, pod jakiemi można uzyskać rentę wojskową, są dość trudne. Weteran bowiem, domagający się wsparcia, musi być trwale i zupełnie niezdolny do pracy, to znaczy, że nie powinien zarobić pół części zwykłego zarobku. Jest to więc ten sam przepis, jaki się stosuje przy zyskaniu renty inwalidzkiej z marek. Nareszcie ubodzy weterani muszą udowodnić, że rzeczywiście potrzebują takiego wsparcia, a o tem przedewszystkiem decyduje miejscowa władza.

Kto więc chce stawić wniosek o uzyskanie renty wojskowej, powinien to zrobić albo ustnie, albo piśmiennie u miejscowego landrata. Wyższą instancya jest prezes rejencyjny, a nareszcie ministeryum spraw wewnętrznych. Do wyższych instancyi trzeba się zawsze piśmiennie zwracać.

Do wniosku dołączyć należy: 1) papiery wojskowe, 2) świadectwo lekarskie o niezdolności zarobkowania, 3) zatwierdzony przez miejscową władzę spis majątku, 4) świadectwo dobrego prowadzenia się. Odpowiedź na wniosek musi nadejść w przeciągu 4—6 tygodni. Władza może żądać dalszych dowodów, jeżeli to uzna za potrzebne, nawet może podać wnioskodawcę ponownemu badaniu lekarza.

Spodziewamy się, żeśmy się dość szczegółowo o tej sprawie rozwiedli i tuszymy, że kto podług tych wskazówek będzie postępował, najłatwiej uzyska rentę wojskową.

Żelazo i stal teraz i dawniej.

Pod powyższym tytułem wydrukowaliśmy w ostatnim czasie w dwóch numerach „Pracy“ — 39-ym i 40-ym — ciekawy i interesujący artykuł, który dzisiaj uzupełniamy zamieszczeniem trzech rycin: a) Rozbijanie surowca, b) Przenoszenie surowca po wytopieniu i c) Robotnik z huty żelaza. Po bliższe szczegóły odsyłamy czytelnika do powyżej wymienionych numerów „Pracy.“



Brama parku w Nowejwsi pod Swarzędzem

jaskrawy dowód postępowania żandarmeryi pruskiej.

Dnia 2-go września b. r. zaprosił druh Niemojowski do parku swego licznych gości: drużyny sokole z okręgu II-go środkowego, aby w ściśle zamkniętym kole bawić się, śpiewać i gimnastykować. Policya swarzędzka i żandarmerya powiatu wschodnio-poznańskiego pod przewodnictwem komisarza z Poznania, rozbiwszy bramę, połamawszy drzwi sztachetowe, wtargnęła do parku i przemocą usunęła gości ze dworu i folwarku. Całe zajście dowodzi, iż urzędnicy pruscy występują widocznie na rozkaz z góry przeciw konstytucyi.

O pielęgnowaniu niemowląt.

Ważną rzeczą przy chowaniu niemowlęcia jest śledzić bacznie wzrost siły i postępowanie z dzieckiem do tego wzrostu zastosować, aby przez zbytnie wytężanie siły, zdrowia dziecka nie nadwerężyć.

Dzieci maleńkie często już od pierwszych dni życia zaczynają główki w górę podnosić, co jest powodem słusznej radości matek, bo świadczy o dobrym stanie sił i zdrowia u dziecka. Przypominamy jednak, że niemowlęta mają zawsze głowę w stosunku do całego ciała bardzo dużą, a kosteczki tak wątłe i miękkie, że łatwo uledz mogą wygięciu. Wskutek tego nie można dziecka przynajmniej do czwartego miesiąca trzymać prosto na ręku, gdyż ciężka główka chwiejąc się na wszystkie strony wywołuje nadmierne natężenie mięśni w cienkiej szyjce i kości pacierzowej, na której się opiera.

Jak wszędzie, tak i tu najlepiej jest dziecko powoli przyzwyczajać do pracy, jaką dla niego jest trzymanie prosto główki. Dlatego już w trzecim miesiącu można dziecko rozpowite kłaść na brzuszku, z początku na maleńką chwilkę, potem na kilka minut, ale nie dłużej. Dziecko położone w takiej pozycyi prostuje sobie plecki i zaczyna dźwigać ciężką głowinę, przez co wyrabia sobie powoli siłę w krzyżu i karczku. Można to powtarzać po parę razy w ciągu dnia — ale zawsze króciutko dziecko w takiem położeniu trzymać, a przekonamy się, że jest to gimnastyka — choć nie konieczna dla zdrowia — jednak bardzo przydatna i dla samego maleństwa miła. Dziecko niezbyt duże i tłuste można w czwartym miesiącu już nosić na ręku; ostrzegamy jednak z góry, że odnosi się to tylko do tych dzieci, które same już główkę bez zbytniego wysiłku utrzymać potrafią. Często bowiem spotykamy po domach takie maleństwa na ręku, którym główka chwieje się na wszystkie strony, a pomimo tego przymuszone są do dźwigania jej w górę.

Rozsądne matki same mogą zrozumieć, że takie wytężenie sił dziecka, jeśli nie szkodzi natychmiast, to na przyszłość pozostawia smutne skutki, bo nie dozwala tak kości pacierzowej jak też krzyżom rozwinąć się swobodnie.

Dobrze jest w ciągu pierwszych miesięcy noszenia dziecka prosto, owijać je od pach aż do końca brzuszka długą i dość szeroką krajką, nie mocno, ale szczelnie, przez to bowiem dziecko prościej się trzyma i mniej się męczy.

Podobnie rzecz się ma z siadaniem u dzieci. Kiedy to następuje? Zwyczajnie w piątym lub w szóstym miesiącu, dokładnie tego czasu nie można oznaczyć, bo i tu jak w poprzednim wypadku mamy najrozmaitsze przykłady przyśpieszenia lub przedłużenia tego terminu. To też nie trzeba mówić sobie z góry: dziecko powinno już trzymać się prosto, albo: powinno już samo siedzieć — i nigdy go do tego nie zmuszać, bo pod tym względem najlepszą i najmędrszą jest sama natura, która maleństwo do objawów życia i siły popycha.

Mówiąc o tym okresie czasu, musimy matkom przypomnieć, że czwarty i piąty miesiąc są najlepszym czasem do szczepienia dzieci. W pierwszych miesiącach dziecko jest jeszcze za słabe, w późniejszych, kiedy może drugą rączką dosięgnąć zaszczepionego miejsca, niepokoi się, bo tarciem i drapaniem powiększa zaognienie. W tej zaś porze zazwyczaj szczepienie najlżej u dzieci przechodzi.

Miejsca zaszczepione do siedmiu dni powinny się zebrać w bąble, wypełnione materyą, które po tygodniu zwykle pękają i przysychają. Strupki zostają na rączce często przez kilka tygodni i należy bardzo uważać, aby ich nie oderwać, gdyż rączka mogłaby się na nowo rozranić. Niektóre dzieci dostają przy zaszczepieniu gorączki, ale to nie jest objawem niebezpiecznym i nie należy się tem przerażać. Trzeba tylko u gorączkującego dziecka kąpiel na kilka dni przerwać, aby uniknąć możliwego w takim razie przeziębienia. Dzieci, które przechodzą szczepienie bez gorączki, można kąpać jak zwykle, gdyż kąpiel zawsze odświeża i wzmacnia ciało. W porze letniej, podczas upałów, dobrze jest owijać dziecku zaszczepioną rączkę czystym płatkiem umoczonym w dobrej oliwie stołowej, gdyż oliwa zawsze łagodzi pieczenie i swędzenie.

Okres ząbkowania występuje u dzieci jeszcze nieregularniej, niż okres prostego trzymania się i siadania. Często już w czwartym miesiącu wychodzą dziecku pierwsze ząbki, czasem znów do ósmego lub dziewiątego doczekać się ich nie można. Zwyczajnym objawem podczas wychodzenia ząbków jest u dzieci kaszel i słabość żołądkowa. O ile jednak wiemy z doświadczenia wszelkie środki do zaspokojenia tych dolegliwości zwykle w takich razach nie skutkują i dopiero wtedy, gdy ząbek zupełnie na wierzch się wybije, następuje natychmiastowa ulga. Objawami towarzyszącymi zwykle wyrastaniu ząbka są: ciągłe ślinienie się, chwytanie dziąsełkami wszystkiego, co dziecku w rączki wpadnie i oznaki niecierpliwości, spowodowane swędzeniem dziąseł, czasem gorączka, która wszakże nie powinna trwać dłużej nad kilka lub kilkanaście godzin.

Dziecko w czasie dostawania ząbków jest słabsze i skłonniejsze do zasłabnięć i chorób niż zwykle, to też należy je otaczać większą pieczołowitością, ale do lekarstw się nie uciekać, chyba w razie rzeczywistej słabości, o czem jedynie doktorzy mogą rozstrzygać.

Dziecko w drugiem półroczu życia zaczyna rozwijać się coraz prędzej. Na wszystko zwraca uwagę, zaczyna śmiać się głośno, naśladuje wykrzykniki, ruchy, wreszcie zaczyna próbować siły własnych nóżek. Jest ogólne przekonanie, że dziewczynki wcześniej zaczynają mówić, a chłopcy chodzić. Zależy to jednakże nie od płci, ale od siły dziecka. Dzieci, pozostawione same sobie, wcześniej wyrabiają sobie siły przez czołganie się po ziemi i niejednym guzem opłacają próby wstawania na nóżki. Dzieci, trzymane ciągle na ręku, nie rwą się tak bardzo do chodzenia i nie są do takich prób zbyt pochopne. Dzieci drobne i żywe wcześniej zaczynają chodzić, niż duże i tłuste. Co się tyczy dzieci niedonoszonych, to trzeba pamiętać, że te wymagają szczególnych względów i nie powinny być uważane na równi z innemi dziećmi, chociażby najlepiej wyglądały. Wogóle nie należy dziecka zachęcać do chodzenia, gdy ono samo do tego nie objawia ochoty, bo kości w nóżkach, jeśli nie są dość silne, wykrzywiają się bardzo łatwo i trzeba później długiego nieraz czasu i kuracyi, aby je naprostować. Bez wątpienia, wygodniej jest dla matki, jeśli dziecko wcześnie zaczyna chodzić, ale przykro później patrzeć na maleństwo, które na pokrzywionych nóżkach z mozołem się porusza.

Dla wzmocnienia słabych dzieci dobrze jest kąpać je co drugi dzień w wodzie, do której dodaje się pół funta zwykłej soli kuchennej. Sól wzmacnia kości i usuwa skłonności do skrofułów i chorób gardlanych. Kąpiele takie korzystnie jest prowadzić w lecie lub na wiosnę. Pora zimowa nie bardzo temu odpowiada.

Dziecko półtoraroczne jest już bardzo mądrem stworzonkiem. Umie chodzić, trochę mówi, rozumie zazwyczaj wszystko i może jadać już potrawy przyrządzone dla starszych. Ale i nadal trzeba pielęgnować je w sposób, którył by najlepiej odpowiadał wyma-

ganiom zdrowia zarówno ciała jak budzącej się duszy dziecka.

Tymczasem zaś pragniemy, aby nasze proste rady znalazły jaknajszersze zastosowanie i wyrugowały rozliczne zwyczaje i leki, które tak często przy chowaniu małych dzieci używane, zazwyczaj więcej szkody niż pożytku przynoszą.

latarni, palącej się nad mieszkaniem Hero, na wieży skały nad brzegiem morza.

Podczas jednej z wycieczek światło zagasło wskutek burzy a Leander znalazł śmierć w morzu. Gdy Hero dnia następnego ujrzała nad brzegiem morza trupa kochanka, rzuciła się za nim z wieży do morza.

Baśń ta starożytna posłużyła malarzowi-artyście prof. F. Kellerowi za tło do wykonania pięknego obrazu,

Z teki tetryka.

Niestety i humoryści muszą umierać, bo śmierć nie zna się na żartach.

* * *

Błędne jest twierdzenie, że głód, to najlepszy kucharz; przeciwnie głód, to najgorszy kucharz, bo sam wszystko zjada.

Są ludzie, którzy próbują wszystkiego, a wybierają najgorsze.

* * *



N. G. Kinley. **Pierwsza próba.**

Nasze ryciny.

Hero i Leander. — F. Keller. — Hero i Leander, to słynna mitologiczna para miłosna z zamierzchłych czasów starożytności, o której nawet pisali poeci, mianowicie Szyller w baladzie p. t. „Hero i Leander".

Działo się na jednej z uczt Afrodyty w Sestos nad Hellespontem, na której między innemi zeszli się Hero, kapłanka bogin i młodzieniec Leander, pochodzący z sąsiedniego Abydos, a gdy się ujrzeli, zbudziła się w nich zobopólna gorąca miłość. Ponieważ jednak stanowisko Hero jako kapłanki oraz wola rodziców nie zezwalała na związek małżeński, więc Leander przepływał co noc nad Hellespontem do ukochanej, mając za wskazówkę światło

którego reprodukcyą zamieszczamy na albumowej illustracyi.

* * *

Polowanie. — Jan Wasilewski. — W obrazie „Polowanie" rodak nasz Jan Wasilewski świetnie zobrazował chwilę ze sportu myśliwskiego. Tak modelowanie jak też subtelność wykonania świadczą o talencie artysty.

* * *

Pierwsza próba. — N. G. Kinsley. Scena wesoła przedstawiona na obrazie, wzięta z życia, jest tak charaterystyczną i tak przemawiającą do wyobraźni czytelnika, że chyba objaśnień nie potrzebuje. *—ski.*

„Szczęście jest ślepe!" — mawiają najczęściej ci, których szczęście nie dostrzegło.

* * *

Człowiek ma aż dwie nogi i tylko jeden mózg, a jednak łatwiej chodzić po świecie bez mózgu, niż bez nogi.

* * *

Zamiast mówić „miłość jest ślepa," należałoby mówić „miłość jest głucha;" bo gdyby było inaczej, nie wychodziłyby za mąż panny grające na fortepianie.

* * *

Nie pragnij nigdy zbierać zrana tego, coś zasiał poprzedniego dnia wieczorem. Kto ma takie pragnienia, nigdy celu nie dopnie. Niestety, nie ma narodu na świecie, któryby się odzna-

czał takim brakiem cierpliwości, zarówno w życiu prywatnem, jak i publicznem, — jak Polacy. Jest to jedna z głównych przyczyn, powodujących nasze nieszczęścia narodowe.

Humor i satyra.

Kalendarzyk na listopad, obowiązujący w Rosyi.

(Dokończenie.)

Roboty gospodarskie w listopadzie.

Zwózka nieprawomyślnych do stodół Cytadeli warszawskiej.

Młócka przechodniów na ulicach miast.

Wieszanie, gdzie się da, kogo się schwyta.

Kopanie mogił dla rozstrzelonych w Cytadeli.

Sianie kul po ulicach Warszawy.

Notatnik myśliwego.

Wolno polować z Karabinami na zające uliczne.

Zabrania się zastawiać sidła i wnyki na funkcyonaryuszów rządowych, oraz polować na ptactwo błotne: policyantów, komisarzy i t. p.

Ważniejsze święta.

Witta Igarza.
Sobiekrada Generała.
Knutosława Zbója.
Heroda Policmajstra.
Konstytucyi męczennicy.

* * *

Kiepski kucharz.

Projekt reform coraz dzielniej
Moskiewsko carski rząd pitrasi:
Soli i pieprzy, słodzi, kwasi,
A potem smaży na patelni.

Ciągle przy ogniu, przy kominie
Wytrwale pełni fach kucharski
I tak się zmęczył kucharz carski,
Że pot mu z twarzy ciurkiem płynie.

Ale choć woń tych potraw łechce,
Jednakże czasu na nie szkoda,
Bo kiedy kucharz jadło poda,
I pies go nawet dotknąć nie chce.

* * *

Straszna groźba.

Chłopiec od szewca: „Jeżeli mnie majster jeszcze raz szarpać będzie za włosy, kupię maści na tępienie włosów i całą głowę posmaruję“.

* * *

W sądzie.

Przewodniczący objaśnia świadka, że nie może przysięgać, jeżeli jest z obżałowanym w stosunku wrogim. Potem pyta:

— Pan znasz przecie oskarżonego?

Świadek: Jeszcze jak! on mi wyswatał moją żonę!

Obrońca. (Szybko): W takim razie proszę świadka nie zaprzysięgać!

* * *

Otwarty.

— Więc pan prosi o rękę mej młodszej córki. Dlaczegóż nie starszej?

— No, tak dużo znów długów nie mam.

* * *

Rozmowy podsłuchane.

I.

— Czy pan w piątek jada z postem, czy z mięsem?

— Nie, pani!... jadam z familią!

II.

— Nic nadprzyrodzonego nie ma na świecie.

— Z wyjątkiem oczu pani.

— I języka pana!...

* * *

Wspólna akcya.

—Droga pani! nam już tylko rzeźnik daje na kredyt!

— A nam tylko piekarz!

— Doskonale! my do was przysyłać będziemy po bułki!

— A my do was po mięso!

* * *

Przy kolacyi.

(Autentyczne).

Kawaler. Piję teraz na zdrowie pani!...

Panna. Dziękuję, ależ ja nie jestem chora.

* * *

Ugrzeczniony.

Książę. Jak się nazywa ta góra?

Burmistrz. Jeżeli Wasza Wysokość łaskawie pozwoli, to... Ośla głowa.

* * *

Rozgoryczony.

Ona. Pamiętasz, Edziu, jak skradłeś mi pierwszego całusa, a ja cię za to uderzyłam?

On. Pamiętam wybornie; jednego żałuję tylko, żeśmy nie wnieśli skargi do sędziego, zamiast się pobrać!...

* * *

Złe pocieszenie.

Matka, pocieszając córkę po utracie konkurenta:

— Maniu! nie rozpaczaj, bądź mężną!

— Jabym wolała być zamężną! — odpowiedziała córka.

* * *

Zawcześnie.

Wierzyciel, do którego już cały prawie majątek należy: Co? pan baron znowu nie może zapłacić tego malego wekselku?!... Ależ co na to powiedzą nasi przodkowie?!...

Zagadka.

Pierwsze i trzecie
Znajdziesz w alfabecie;
Drugie wspak, także litera.
wszystkiemu kto łzy obciera,
Ten sobie niebo otwiera.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 24-go listopada.

Rozwiązanie Kwadratu Magicznego zamieszczonego w nr. 44-ym:

62	71	80	33	42	51	60
70	79	39	41	50	59	61
78	38	40	49	58	67	69
37	46	48	57	66	68	77
45	47	56	65	74	76	36
53	55	64	73	75	35	44
54	63	72	81	34	43	50

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. L. Ludkowski, Józef Wojciechowski, Franciszek Hellwig, Kazimiera Remlein, *z prowincyi:* pp. Jan Trafanowski ze Stęszewa, M. Orlicki z Trzemeszna, Zofia Kasierowska z Inowrocławia, N. N. z Wilatowa Michał Hübner z Przementu, M. Nalewajska z Wir pod Komornikami, Józef Gawrych z Młynkowa, Stanisław Siekierski z Wolwarku pod Szubinem, Józef Kasperski ze Starkowa pod Przementem, *z Prus Zachodnich:* pan H. Kruczkowski z Drzycimia, *z obczyzny:* pp. W. Tobolska z Berlina i Jan Springer z Laar (Nadrenia.)

Nagrodę otrzymali: pp. Jozef Wojciechowski z Poznania, H. Kruczkowski z Drzycimia i W. Tobolska z Berlina.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

15)

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Wkrótce po kampanii polskiej, jenerał Erbsenzwajg ożenił się. Z kim się ożenił, to nie należy do rzeczy. Dość wiedzieć, że ani z panną Antoniną, ani z panią Solicką, i że był szczęśliwy w małżeńskiem pożyciu, pomimo że, będąc już sam nie młodym, wziął młodą i ładną żonę, i że miał w sztabie swoim kilku bardzo eleganckich adjutantów. Dziatki mu się rodziły, życie upływało w dostatkach i honorach, i tak upływało aż do 1848 roku, w którym spotkał go największy zaszczyt.

Wiadomo, co to był ten 1848 rok. Rosyę on ominął, jak omija niekiedy morowe powietrze jedną wieś, nawiedzając wszystkie inne. Nie mniej wszakże przeto zaniepokoił on szerokie carstwo i wprawił w niem wszystkie wojska w ruch niezwykły. Korpusy moskiewskie podążyły ku granicom, od których zagrażało niebezpieczeństwo. Car potężny ogłosił światu, że nie chce się mieszać do niczyich spraw, ale nie pozwoli, aby kto śmiał mieszać się do jego.

Pomimo tego jednakże ogłoszenia, na południowej granicy imperyi, zgromadzonym został silny korpus, w celu przekroczenia granicy. Zaszła kwestya w Petersburgu: komu powierzyć dowództwo tej awangardy absolutyzmu, komu poruczyć działanie niepodległe a energiczne i pewne, kogo postawić na czele, aby był, jak nasz wieszcz powiada „wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata.“

Długo car i najznakomitsi jego doradcy myśleli i radzili. Spis jenerałów po starszeństwie przechodził z rąk do rąk. Jeden proponował tego, drugi owego, stosownie jak który z doradców w ogólnym imperium interesie, widział swój osobisty interesik, stosownie w jakich kto z tym lub owym jenerałem zostawał stosunkach pokrewieństwa, przyjaźni lub rachunków.

Car milczał. Tu szło o powierzenie nieograniczonego zaufania: więc nie można było tej rzeczy lekko traktować. Milczał i zżymał się na każde wymówione nazwisko, bo on znał swoich podwładnych. Za każdem nazwiskiem, wycisnął się mu przez zęby wyraz:

— Wor....

W końcu doradcy nie śmieli mu już nikogo proponować. Więc on sam, głośno i stanowczo wyrzekł:

— Erbsenzwajg....

I doradcy pochylili głowy, i wszyscy od razu a jednogłośnie zgodzili się na to, że Erbsenzwajg godzien jest carskiego zaufania, i tylko dziwili się sami sobie, że przedtem tego nie wiedzieli.

Więc natychmiast w ministerjum wygotowano rozkaz, a car zamknął się w swoim gabinecie i własnoręcznie napisał: krótki reskrypt i długi list poufny.

Jednocześnie otrzymał nasz bohater: rozkaz, reskrypt i list poufny — w moc których objął naczelne dowództwo oddzielnego korpusu, mającego przekroczyć granicę i przeznaczonego do działania przeciwko burzycielom porządku stosownie jak to dowódzca uzna za potrzebne.

Generał wezwał do siebie żonę, i pokazał jej rozkaz i reskrypt (listu nie pokazywał).

— Cóż to takiego?... — zapytała generałowa.

— To własnoręczne pismo Jego Cesarskiej Mości.

— Pokaż!... — zawołała kobieta i z pewną łapczywością pochwyciła reskrypt i chciwie mu się przypatrywała. Generał patrząc na nią, uśmiechnął się uśmiechem wewnętrznego zadowolenia.

— Ty generałem komenderującym?...

Generał skinął głową na znak potwierdzenia.

Kobieta rzuciła się mu w objęcia. Uściskali się.

Korpus ruszył. Naczelne jego kolumny wkroczyły już na terytoryum ościennego państwa, nad którem Rosya rozciągała swój protektorat.

Generał jechał przy tylnej straży.

Marsz odbywał się powoli. Robiono częste dniówki i posuwano się krótkiemi etapami. Główna kwatera od kilku dni z rzędu w jednem i tem samem pozostawała miejscu.

Po dwóch czy trzech przenosinach, ostatnią główną kwaterę w granicach Rosyi założono w miasteczku na samej granicy położonem. Była to mała i mizerna mieścina, w której najlepszy dom wybrano dla sztabu. Wybrano z rana; wieczorem naczelny wódz przyjechał i zainstalował się.

Tryb rozporządzenia czasu na głównej kwaterze generała Erbsenzwajga był zwykle taki: wstawał bardzo rano i natychmiast wypijał filiżankę czekolady; po czekoladzie odczytywał pisane raporta, potem odbierał ustne i szedł do kancelaryi sztabu, gdzie z szefem pracował nad rozkazami; — to zabierało czas do dziewiątej, czasem do dziesiątej, godziny, o której następowało śniadanie a po śniadaniu słuchanie innych spraw i interesów, jak przeglądy, obiad, wizyty i t. p.

W pogranicznem miasteczku nie zaszły okoliczności, któreby wpływ jaki na ów porządek wywrzeć mogły. Generał przeto spokojnie się przespał i po czekoladzie kazał sobie podać raporta.

Pomiędzy temi raportami, jeden zafrapował go szczególniejszym sposobem.

Raport ten był następującej treści:

Pułkownik jednego z pułków piechoty donosił, że w pułku jego odkrył się pomiędzy żołnierzami spisek. Odkrył się on w skutek donosu (denuncjacji) jednego ze spiskowych, którego imię i nazwisko było wymienionem. Celem spisku było przejście do Węgrów w jaknajwiększej liczbie z bronią i pakunkiem. Donosił przytem pułkownik, że wskutek tego donosu, kazał aresztować pięciu żołnierzy, że aresztowałby i więcej, ale obawia się, aby to nie oddziałało na innych.

Generał kilkakrotnie odczytał raport i w końcu na maryginesie napisał treść rozkazu: więcej nie aresztować: tych co są już aresztowani wybadać i dowiedzieć się od nich o głównych sprawcach; tych ostatnich ująć, oddać pod sąd i przykładnie ukarać.

Z tej treści, w kancelaryi sztabu ustyllizowano rozkaz który — ponieważ działo się na wojennej stopie — we dwadzieścia cztery godziny został wykonanym.

We dwadzieścia cztery godzin wyszukano głównych sprawców spisku, i oddano ich pod sąd. W drugie dwadzieścia cztery godzin odbył się sąd, i na trzeci dzień, wraz z raportem, przyniesiono generałowi do potwierdzenia dekret śmierci, mający się wykonać przez rozstrzelanie.

Z głównych sprawców wyszukano tylko jednego. Nazywał się on, w urzędowem, moskiewskiem brzmieniu, Michaił Stanisławów syn Grzybowski.

Przeczytawszy to nazwisko, wzdrygnął się generał.

Czytał dalej i dowiedział się: że, ponieważ winowajca jest szlacheckiego stanu, konskrypcjonista z królestwa polskiego, przeto, pomimo że jest prostym tylko sołdatem, nie może być karany pałkami. Odczytał ten dekret po dwa razy, odłożył go na stronę, i wyszedłszy do kancelarji, natychmiast posłał adjutanta z rozkazem, aby mu przyniósł protokóły sądowe.

Około południa, protokóły te były w jego ręku. Wziął je, zamknął się w sypialnym swoim pokoju, i zabrał do przeczytania ich.

Było tego dużo, kilkanaście znumerowanych arkuszy, wielkim, zamaszystym i kancelaryjnym charakterem zapisanych. Były tam zeznania donoszczyka, świadków i głównego winowajcy, który go najbardziej interesował.

Wina była oczywistą i dowiedzioną. Najmniejszej nie podpadało wątpliwości, że Michał Grzybowski namawiał do przejścia do Węgrów, bo się sam do tego przyznał, ale przyznał się, że namawiał tylko jednego; tym był donoszczyk.

Zapytanie: Jak się nazywasz?

Odpowiedź: Michał Grzybowski.

Z. W którym roku urodziłeś się?

O. W 1825.

Z. Jak się nazywa twój ojciec?

O. Stanisław Grzybowski.

Z. Jak się nazywa twoja matka?

O. Antonina z Uhryńskich Grzybowska.

W tem miejscu generał, z głuchem jakiemś westchnieniem jęknął.

Czytał dalej:

Z. Czy twoi rodzice żyją?

O. Matka żyje, ojciec nie.

Z. Kiedy i jak umarł twój ojciec.

O. Zginął pod Grochowem w 1831 roku.

Z. Czem się trudni twoja matka?

O. Gospodarstwem w swoim majątku, i wychowaniem swoich dzieci.

Z. Duże masz rodzeństwo?

O. Trzech braci.

Z. Co robią twoi bracia?

O. Najstarszy jest w Nerczyńskich kopalniach, a młodszy w szkołach.

Dalej szło dużo jeszcze tym podobnych pytań i odpowiedzi, póki do właściwej treści protokołu nie przyszło. W tej widoczną była walka pomiędzy audytorem a winowajcą, walka na podstępy i wybiegi. Pierwszy usiłował wydobyć zeznanie o spólnikach, drugi usiłował nie zeznać.

Pomiędzy innemi pytaniami i zarzutami, były następujące:

Audytor: Przecież ty dałeś hasło?

Winowajca: Ja żadnego hasła nie dawałem.

A. A to co u ciebie było w szkaplerzu, na piersiach zaszyte?

W. To dewiza, która mnie matka pobłogosławiła na drogę i sama mi ją napisała i do szkaplerza zaszyła, a zaszyła przedtem, nim mnie do wojska wzięto!

Prezydent sądu do audytora. Co to za dewiza?

Audytor czyta: Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną?

W tem miejscu papiery wypadły generałowi z rąk. Krew ustapiła mu z twarzy. Policzki jakiemś konwulsyjnem zadrgały drganiem.

Z wypadłych papierów wysunął się, jako corpus delicti, szkaplerz spłowiały, naznaczony cyfrą I. M. J. Był on rozpruty. Przez rozprucie wyglądał biały, złożony w kilkoro papierek.

I, dziwna rzecz. Generał w ten papierek wlepił wzrok, jakiś przestraszony i obłąkany, bo papierek ten wydał się, zaokrąglił i przybrał kształt ludzki. Ze szkaplerza, z pod cyfry I. M. J. wysunęła się postać kobieca, zupełnie naga, okrwawiona i pokaleczona; piersi miała obcięte i jedną nogę strzaskaną; włosy zbite z zastygłą krwią w kołtuny; twarz trupio-białą, białości takiej, jak papierek. Wysunęła się na podłogę, i leżała przed nim. Generał drżał, chciał powstać, chciał głowę odwrócić; — ani się udźwignąć, ani ruszyć się nie mógł. Oddech jego stał się ciężki i gorący. W uszach poczęło mu coś grać, huczeć i bębnić — niby bębny, trąby i litawry, grzmotowym sposobem wtorujące wionącemu przez powietrze głosowi:

— Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną...

Mocował się generał sam z sobą. Czuł że to widmo, wywołane własną jego wyobraźnią, a nie był w stanie go usunąć, pomimo że natężał wolę coraz silniej. Aż w końcu zawołał, ale w duchu, bo głosem nie mógł, bo nie miał w piersiach głosu:

— Matko moja, przebacz mi!...

Na to zawołanie, jakby na czarodziejskie zaklęcie, widmo zprzezroczyściało i znikło, huki i bębnienie rozwiały się w powietrzu, — pozostał generał na krześle, a przed nim na podłodze rozrzucone papiery i szkaplerz z cyfrą i z wyglądającym białym papierkiem.

Generał ciężko odetchnął.

Siedział przez czas jakiś nieruchomie i w głowie jego poczęła powoli kształtować się myśl. Pobiegł nią wstecz do lat dziecinnych, i jak paciorki na różańcu, począł przesuwać rok po roku całe swoje życie.

Zrazu twarz miał jasną, uśmiechał się i był piękny — bo był to piękny człowiek, stary, siwy, poważny; uśmiechał się i płakał; — lecz powoli posępniał, chmurą zachodziła mu twarz, marszczył czoło, oczy szerokiemi brwiami. W końcu westchnął ręką jakby w rozpaczy i powiedział głośno te dwa wiersze Goreckiego:

„Nie masz, nie masz przebaczenia,
Temu co przelał krew braci...“

Cała postać jego stała się niejako wcieleniem rozpaczy.

Wstał, wyprostował się, chodził, myślał, głową kiwał, a kiwał z takim giestem, jakby przecząc czemuś, co mu się jako twierdzenie czy perswazya do myśli cisnęło.

Raptem zatrzymał się obok łóżka przed stolikiem, na którym jego pistolety leżały. Były to doskonałe kuchenrejtery, ciągnione, ze sznelerami i ostro nabite.

Spojrzał na pistolety, i wziął jeden do ręki. Odwiódł kurek, odsunął szneler i przyłożył wylotem pod brodę.

Odjął jednakże, popatrzył wewnątrz lufy, jakby chciał kulę zobaczyć, gorżko się uśmiechnął, i spuścił pistolet.

Tak pozostał kilka sekund, patrząc przez okno na zieleniejące pola, na rzekę, która pod miasteczkiem płynęła, na lasy widne za rzeką. Machnął pistoletem, jakby go chciał z ręki wyrzucić, — nagle go podniósł, przyłożył pod brodę i — cyngla się dotknął.

Wiadomo, że sznelery są na to, aby kurki od dotknięcia spuszczały.

To też, równocześnie z dotknięciem nastąpił wystrzał. Kula utkwiła w suficie, przeszedłszy pierwej, z dołu do góry, na wskroś przez głowę generała Erbsenzwajga.

Sztabowi oficerowie drzwi wyłamali, wpadli do pokoju i zastali wodza swego, drgającego ostatniemi drganiami konania. Na podłodze, obok niego i pod nim leżały rozrzucone arkusze protokołu, a na stoliku nie podpisany dekret śmierci na młodego Grzybowskiego, który z tego skorzystał: zamieszanie bowiem, jakie ten wypadek w całym korpusie sprawił, dozwoliło mu wymknąć się z więzienia i wraz z kilku lepszymi kolegami dostać się do Węgrów.

K o n i e c.